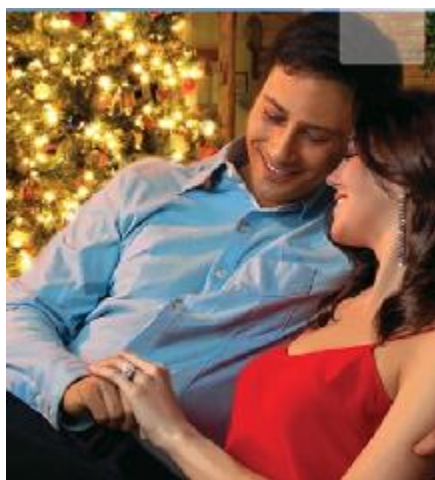




Marion Lennox



*Świąteczne
marzenie*

Tytuł oryginału: Dynamite Doc or Christmas Dad?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– O niczym innym nie marzę jak o tym, żeby w święta znaleźć się w enklawie zaludnionej wyłącznie przez facetów. Brodaty Święty Mikołaj, renifery samce, prezenty dla chłopców i ani jednej dziewczyny. Czekaając, aż pani Blythe urodzi, przeczytałem o klasztorze, w którym nie ma nawet kur. Ellen, znajdź mi ten klasztor. Tam spędzę święta.

Ellen, sekretarka Bena Oaklandera, nawet nie mrugnęła, układając jego papiery w teczce.

– Nie musisz uciekać do klasztoru – odparła. – Na wyspie Cassowary, gdzie jedziesz, żyją tylko kazuary. I praktycznie nikt więcej.

– Poza uczestnikami konferencji położników – mruknął niezadowolony. – Na pewno będzie tam niejedna baba.

– Jeśli nie lubisz kobiet, to dlaczego zostałeś położnikiem?

– Bo lubię matki. I moich współpracowników. – Zerknął na nią kątem oka. – Na przykład ciebie. I lubię noworodki niezależnie od płci. To mi wystarczy.

– Ale umawiasz się z kobietami – zauważyła Ellen, sięgnęła po jego *pendrive*, po czym wsunęła go do teczki.

Kopia awaryjna. Zbędna, bo Ben Oaklander zawsze jest doskonale przygotowany, a jego wykład zabezpieczony na cztery sposoby.

– No właśnie, tylko się umawiam. – Przegarnął włosy palcami. Prawie zawsze chodził potargany i wymięty. Odbierał porody, prowadził badania naukowe, uczył młodszych kolegów, jednym słowem prowadził nieuporządkowany tryb życia.

Mimo to jest seksowny, pomyślała Ellen. Nic dziwnego, że ma

problem z kobietami. Jest zwolennikiem porodów siłami natury, więc sporo czasu upływa mu na czekaniu. Chodzi wtedy do szpitalnej siłowni. I to widać. Ma ciało.... Hm, czy takie myśli przystoją sześćdziesięcioletniej sekretarce?

Ben Oaklander to jeden z najlepszych położników w Australii, a fakt, że go poproszono, by wygłosił kluczowy referat na międzynarodowym sympozjum, po raz pierwszy zorganizowanym w Australii, mówi sam za siebie.

Co innego kobiety. Przez te wszystkie lata, od kiedy Ellen z nim pracowała, spotykał się z siedmioma.

– Co się stało z Louise? – zapytała.

Ben westchnął.

– Wykupiła bilet na Cassowary jako mój prezent bożonarodzeniowy. – Wzruszył ramionami. – Ale wczoraj jakoś tak wyszło, że wieczorny spacer skończył się przed witryną jubilera. Pokazała mi pierścionki, które się jej podobają i napomknęła, że za dwa tygodnie będą święta. Pomyślałem, że nie mogę jej oszukiwać.

– Uhm... I taka szczerłość się jej nie spodobała?

– Spoliczkowała mnie.

– Oj! – Dopiero teraz dostrzegła bladoczerwony ślad na szczęce szefa. – Chyba zabolalo.

– Owszem – przyznał nieco zdziwiony. – Nie zasłużyłem na to, bo już na samym początku się zastrzegłem, że na nic nie może liczyć.

– To nie takie proste. – Ellen zajęła się uzupełnianiem materiałów w teczce. – To instynkt. Człowiek przywiązuje się niepostrzeżenie.

Louise, lekarz patolog, miała trzydzieści cztery lata, pracowała w tym samym szpitalu i często zaglądała na ich oddział, by popatrzeć na

pacjentki Bena i dopiero co urodzone dzieciaczki. Ellen domyślała się, o czym marzy ta skądinąd rzeczowa kobieta.

– Byłaby świetną matką – zauważyła z pewnym żalem, bo jej dorosłe dzieci nie spieszyły się z wnuczętami. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jej szef...

– Z innym facetem w roli taty. – Z trzaskiem zapiął teczkę. – Nie ze mną.

– Masz coś przeciwko rodzinie?

– Nie interesuje mnie rodzina ani kobiety, które jej pragną. I dlatego po konferencji zostanę na Cassowary. Inni niech świętują Boże Narodzenie, a ja będę leżał na plaży, czekając, aż Święty Mikołaj zrzuci mi przygodowe lektury dla chłopców. Co nie znaczy, że nie życzę ci wesołych świąt. – Podał jej pięknie opakowane pudełko. – Wesołych Świąt, Ellen.

– Chciałbym, żeby Mikołaj przyniósł mi tatę.

– Nie wiem, czy to jest wykonalne. – Jess siedziała na brzegu łóżka, słuchając listy zamówień do Świętego Mikołaja ułożonej przez jej dziesięcioletniego synka. Do tej pory nie było to kłopotliwe: auto strażackie, kostium Spidermana, gry komputerowe.

Myślała, że upłynie jeszcze kilka lat, nim Dusty wejdzie w trudny okres, ale on już teraz nie był w świątecznym nastroju. Leżał z ponurą miną, starając się nie wyglądać jak obrażone dziecko.

– Przecież wiesz, że tata zmarł, jak miałeś trzy lata – rzekła cicho. – Nawet Święty Mikołaj tego nie zmieni.

– Wiem, ale mamy po nim tylko trzy zdjęcia, na dodatek zamazane. A ja chcę mieć mnóstwo zdjęć, zdjęcia moich... przodków. I pamiątki. Na przykład kij krykietowy, żebym mógł go pokazać Mike'owi, jak opowiada

o swoim tacie... cokolwiek.

Ach, to o to chodzi, pomyślała. Mike Scott to kolega Dusty'ego, którego ojciec zmarł rok wcześniej na raka, a mama Mike'a, anestezjolog, przeprowadziła się do Londynu, żeby być bliżej swojej matki. Chłopcy poznali się i zaprzyjaźnili w przyszpitalnej świetlicy: dwóch bystrych dziesięciolatków, obaj osieroceni przez ojców.

Co ich różni? Mike ma dziesiątki pamiątek, Dusty trzy niewyraźne fotografie. Trudno się temu dziwić. Rodzice Mike'a mieli ślub, a Jess jest samotną matką. Poznała Nate'a na pierwszym roku studiów. Była wtedy bardzo samotna i nie miała szczęścia, wybierając akurat tego chłopaka i akurat taką metodę zapobiegania ciąży.

Teraz szło jej lepiej. Zdołała ukończyć uniwersytet medyczny oraz wychować pogodnego, zdrowego i nie – wymagającego dziesięciolatka.

– Nic na to nie poradzę. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz też, że twój tata nie był gotowy na twoje przyjście i że zmarł, jak byłeś mały.

– Miałem trzy lata – odparł Dusty wojowniczym tonem. – Muszą być jakieś zdjęcia.

– Nie ma. – Nie miała serca wyjawić synowi całej prawdy, że jego ojciec nawet go nie widział, że wyrzekł się ojcostwa. – Dusty, nie robiliśmy zdjęć.

– Ale inni robili – upierał się. – Jak byłem mały.

– Twój dziadek był bardzo trudny. – Tym razem mogła być szczerą. Do pewnego stopnia. – Jak go poprosiłam, żeby pokazał nam zdjęcia twojego taty, jak był mały, powiedział, że nie ma ochoty się nimi dzielić.

Tak można by podsumować tę koszmarną wizytę. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Zebrała się na odwagę i... poniosła klęskę. Łudziła się, że Nate powiedział ojcu o Dustym, a jeśli nie, myślała, że starszy pan

uciesz się z wnuka. Nic z tych rzeczy.

Nate umarł trzy miesiące wcześniej, więc skromne pieniądze, jakie niechętnie dawał na dziecko, się skończyły. Wiedziała, że rodzina Nate'a jest bardzo bogata, że te sumy nic dla nich nie znaczyły, ale dla niej były wszystkim. Stojąc przed tym człowiekiem, patrzyła, jak czerwienieje ze złości.

– Jak śmiesz tu przychodzić i kłamać mi w żywe oczy?! Mój syn z taką jak ty nigdy by się nie zadał! Wynoś się! Nie dam ani centa!

Zabrało jej dwa lata, nim zdobyła się na odwagę, by do niego napisać. Do listu dołączyła zdjęcie Dusty'ego, jak dwie krople wody podobnego do ojca. Prosiła, by mimo że odmówił wsparcia finansowego, potwierdził, że chłopiec miał ojca. W odpowiedzi otrzymała list od jego prawnika, grożący jej procesem o zniesławienie.

Udowodniłaby to w minutę. Nate miał tego świadomość i dlatego, aczkolwiek niechętnie, płacił alimenty. Potwierdziłoby to badanie DNA ojca Nate'a albo jego brata. Ale po co? Po co udowadniać, kto jest ojcem, skoro ona wie to na sto procent? Po co płacić prawnikom? Dusty powinien o tym zapomnieć.

– Nic na to nie poradzimy. – Uśmiechnęła się blado. – Wiem, że to trudne, ale musisz pogodzić się z faktem, że twój tata umarł, że dziadek też nie żyje. I że niczego się nie dowiesz o rodzinie taty.

– Mówiłaś, że tata miał brata.

– Rzadko o nim wspominał. Chyba się nie lubili. – Czowała, że nie była to kochająca się rodzina.

– To go odszukajmy.

– Synku, on nie będzie chciał z nami rozmawiać. Pewnie jest takim samym gburem jak dziadek.

– Ale moglibyśmy go obejrzyć – drążył Dusty. – Taka przygoda... Tylko byśmy na niego popatrzeli. Zrobiłbym mu zdjęcie z daleka. A jak Mike by się pytał, mógłbym mu powiedzieć, że on jest tajnym agentem i że musiałem się podczołgać, żeby go zobaczyć...

No tak, pomyślała, byłoby o czym opowiadać.

– Poszukam go w internecie – obiecała.

– Nic więcej pod choinkę nie chcę – oznajmił Dusty. – Chcę zobaczyć brata mojego taty.

– A deskorolka?

– Nie chcę nawet nowej konsoli do gier – odparł wspaniałomyślnie.

– Zobaczenie wujka na pewno nie będzie dużo kosztowało.

Znalazła go w internecie bez większego trudu. Ben Oaklander. Mieszka w Australii. Jest lekarzem, podobnie jak ona położnikiem, ale mimo że ledwie pięć lat od niej starszy, zawodowo wyprzedza ją o dwadzieścia lat. Jest sławny. Przypomniało się jej, jak pierwszy raz zetknęła się z Nate'em. Poznała ich jej wspólna koleżanka.

– To Jess, moja przyjaciółka. Jest na pierwszym roku medycyny.

– Co, jeszcze jeden doktor Judym jak mój święty braciszek?! – parsknął, ale gdy jej się przyjrzał, przeprosił ją i starał się być ujmujący. Oczarował ją.

Więcej o jego bracie nie słyszała. Ale teraz brat się pojawił. Doktor Judym? Chyba niezupełnie.

Miała przed sobą stronę informującą o konferencji mającej odbyć się w grudniu na wyspie Cassowary u wybrzeży Australii. Główny mówca: Benjamin Oaklander, jeden z najbardziej cenionych położników w Australii, najmłodszy z tytułem profesora, autor trzech referatów, trzydziestu artykułów w pismach fachowych.

Fotografia: ciemnowłosa, a Nate był blondynem, podobnego wzrostu. I takie same niebieskie oczy. Uśmiecha się do kamery. Tak samo...

Doskonale pamiętała ten uśmiech. Niebezpieczny.

To wystarczy, pomyślała. Jak Dusty go zobaczy, już nie będzie konieczny aparat z teleobiektywem.

Wyłączyła komputer.

Nie, dla Dusty'ego zdjęcie w internecie to za mało. Jemu zależy na prawdziwym kontakcie. Może jak Dusty trochę podrośnie, ona skontaktuje się z tym człowiekiem.

Ponownie włączyła komputer. Ten uśmiech... Teraz nie robił na niej najmniejszego wrażenia. Patrzyła obojętnie. Arogancja, kłamstwa, oszustwo. „Do końca życia będę dbał o ciebie...”. Sama o siebie zadbała. Teraz nie da się zwieść żadnemu uśmiechowi. Jeden raz wystarczy.

– Mamo...

Błyskawicznie cofnęła się na poprzednią stronę.

– Mamo, co robisz?

– Nie pytaj – odpowiedziała tajemniczym głosem, jakby kontaktowała się ze Świętym Mikołajem.

Dusty już stał za jej plecami.

– O, to jest wyspa?

Dopiero teraz uważniej przyjrzała się zdjęciom Cassowary: niewielki ośrodek badawczy zajmujący się kazuara – mi, azyl dla dzikich zwierząt oraz ośrodek konferencyjny o światowym standardzie. Poza tym plaże, błękitny ocean, rafa koralowa, wielobarwne ryby, żółwie, delfiny... Raj na ziemi.

– Mamo... – sapnął Dusty – jedziesz na wakacje?

– Tak sobie tylko marzę.

I nagle naprawdę się rozmarzyła. Kiedy po raz ostatni brała urlop? Najpierw zadłużyła się, by opłacić studia, a zaraz potem mama się rozchorowała. Umarła przed dwoma miesiącami. To będą ich pierwsze święta bez niej.

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Moglibyśmy gdzieś polecieć – powiedziała, wpatrując się w żółwie.

– Tam!

– To jest na drugim końcu świata.

– Więc będzie ciepło.

– Chyba tak. – Nawet już ją na to stać, bo od jakiegoś czasu zarabia przyzwoicie, a poza tym wkrótce sprzeda dom mamy...

– Tu jest napisane, że odbędzie się tam sympozjum położników i ginekologów. – Dusty’emu oczy aż się zaświeciły. – Od dziewiętnastego do dwudziestego drugiego grudnia. Mama, super! Ferie zaczynają się piętnastego.

– Wątpię, czy chciałbyś brać ze mną udział w tej konferencji.

– Ale pewnie nie byłoby nas na to stać, gdyby nie to, że to twoja praca – stwierdził inteligentnie Dusty. – Ty nie robisz nic, co nie byłoby pracą. Chyba że dla babci albo dla mnie.

– Mogłabym zrobić wyjątek. Jest całe mnóstwo ciepłych krajów. Lepiej o to poproś Mikołaja zamiast szukać śladów taty.

Chłopiec spochmurniał.

– Zależy mi na tym.

– Dusty, nic nie możemy zrobić.

– Powiedziałaś, że będziemy mieli dwa tygodnie ferii. Przez ten

czas na pewno coś znajdziemy.

– Wolałabym polecieć tam, gdzie jest ciepło.

– To najpierw będziemy detektywami, a potem polecimy tam, gdzie ciepło. – Chwycił ją za rękę. – Szybko się z tym uwiniemy.

– Dusty...

– Musisz mi pomóc. – Uśmiechnął się szeroko. Jeszcze chwilę wcześniej wpatrywała się w taki sam uśmiech na ekranie. – Tobie te zdjęcia też się spodobają. Niefajnie jest nie mieć żadnego zdjęcia taty. Na pewno się z nich ucieszysz.

Wątpliwe. Ale cóż, ona zna przodków Dusty'ego ze swojej strony. Jej ojciec zmarł, gdy miała dwanaście lat, więc albumy z jego zdjęciami, jak trzyma ją na rękach, jak się z nią bawi, nabrały dla niej wręcz kosmicznego znaczenia.

Zagoniła Dusty'ego z powrotem do łóżka, po czym wróciła do komputera. Dwie sroki za ogon? Konferencja zapowiada się ciekawie. Mogłaby tam „przypadkiem” wpaść na Bena, pokazać go Dusty'emu, a po konferencji jeszcze przez tydzień zostaliby na wyspie.

Azyl dla dzikich zwierząt...

Kilkanaście lat wcześniej wyspę Cassowary nawiedził cyklon, więc teraz robiono wszystko, by odbudować populację kazuarów oraz lokalną florę i faunę.

Tak, z przyjemnością tam poleci. A Dusty? Od śmierci babci jest nadmiernie wyciszony. Być może potrzeba dowiedzenia się więcej o ojcu ma mu tę stratę zrekompensować, pomyślała smutno. Chłopiec szuka powiązań rodzinnych ponad to, co daje mu ona.

Ale szansa, by dał mu to którykolwiek Oaklander, jest znikoma, pomyślała. Jednak musi pokazać dziecku, że się stara. Takie wspaniałe

wakacje przydadzą się obojgu, a przy okazji konferencji Dusty będzie miał sposobność zobaczyć wujka. Dobry pomysł czy recepta na totalną katastrofę?

Dlaczego zaraz katastrofa?! Nic jej nie łączy z Benem Oaklanderem, on nic dla niej nie znaczy. Nie potrzebuje go tak, jak potrzebowała jego brata. Więc jedźmy, pokażę Dusty'emu, po kim tak się uśmiecha. Nawet jeśli reakcja Bena będzie chłodna, na pociechę będą mieli cudowne wakacje. Spojrzała raz jeszcze na ekran komputera, na program konferencji, na podobiznę Bena Oaklandera. Ach, ten ich uśmiech. Chyba już jej nie zagraża?

ROZDZIAŁ DRUGI

Miesiąc później znaleźli się na promie w połowie drogi między północnym wybrzeżem Australii i wyspą Cassowary. Dziesięć metrów od nich siedział Ben Oaklander. Jess poczuła się niepewnie, bo nie przewidziała, że do konfrontacji dojdzie aż tak prędko.

Symposium zaczynało się w poniedziałek, ale uczestnicy spotkania mieli popłynąć na wyspę później, w niedzielę, poduszkowcem wynajętym przez organizatorów, więc rejsowy prom był prawie pusty. Oprócz szypra i dwóch pomocników na pokładzie znajdowały się dwie starsze panie, sądząc po emblematkach na kamizelkach pracownicy azylu dla zwierząt, oraz jeden mężczyzna, który siedział na rufie pogrążony w lekturze.

Rozpoznała go, gdy tylko weszli na pokład. Chłopiec nie zwrócił na niego uwagi, pochłonięty promem, morzem i perspektywą wielkiej przygody. Ot, jakiś pasażer.

Charakterystyczny profil, dzinsy, T-shirt, spłowiałe tenisówki i fantastyczne ciało. Prawdziwy Oaklander.

Wspaniały, a jednocześnie zdystansowany. Język jego ciała mówił: „Zostawcie mnie w spokoju”.

Miał ciemniejszą karnację niż brat i surowsze rysy.

„Lepiej ze mną nie zadzieraj”, zdawał się mówić jego profil, a jej przypomniał się ich przerażający ojciec.

Powinna powiedzieć Dusty’emu, ale nie na tym niewielkim promie. Poinformowała syna, że Ben weźmie udział w konferencji, ale nie bardzo wiedziała, jak rozegrać to spotkanie.

Gdy ich oczom ukazała się wyspa, chłopiec zaczął skakać z radości.

Postanowiła, że przypląną wcześniej, by spokojnie się zainstalować i zorientować, co Dusty może robić, gdy ona będzie w sali konferencyjnej. Najwyraźniej Ben wpadł na podobny pomysł.

Widać było, że jest pochłonięty tym, co czyta. Przypomniały się jej przykurzone pisma fachowe na jej stoliku nocnym. Nie zabrała ze sobą ani jednego. To dlatego ten facet jest tak ceniony w swoim środowisku, a ona jest tylko zwyczajną lekarką, która odbiera porody.

Zerknęła ponownie na ten nieprzystępny profil, po czym przeniosła wzrok na syna zapatrzonego w igrające w wodzie delfiny. Niezaprzeczalne podobieństwo.

Może przedstawić się już teraz i wyjaśnić, czego Dusty potrzebuje? Czują, że się nie odważy.

Dusty od dłuższego czasu fotografował delfiny, ale teraz odwrócił się, by zrobić dokumentację promu.

– Nie fotografuj tego faceta na rufie – powiedziała cicho. – On chyba nie chce, żeby mu przeszkadzano.

– Ja mu nie przeszkadzam – odparł Dusty – ja tylko robię zdjęcia. Wszystkiego.

No cóż, zabrakło jej argumentu.

Może to paranoja, pomyślał, ale chyba nie. Przez cały czas czuł się obserwowany, co wytrącało go z równowagi.

Ukradkiem przygląda mu się kobieta. Tak atrakcyjna, że zapierało mu dech w piersiach. Może z powodu pięknego poranka, może z powodu jej lśniących kasztanowych włosów, uśmiechu wywołanego jakąś uwagą chłopca, prostotą jej stroju, a może z powodu dojrzałości malującej się na jej młodej twarzy.

Ten chłopiec. Podobny do Nate'a.

Wydaje mu się. Owszem, ma jasne włosy oraz niebieskie oczy jak Nate i taki sam uśmiech, ale to nie Nate. Ma dziesięć, jedenaście lat i jest z tą kobietą.

Gdyby ta kobieta była sama, nie mógłby oderwać od niej wzroku, ale jego uwagę przyciągał chłopiec. Wróciły niechciane wspomnienia związane z Nate'em. Kiedyś, gdy były między nimi dwa lata różnicy, przyjaźnili się, razem zwierali siły przeciwko okrutnemu ojcu i zimnej matce. Ale potem Nate się zorientował, jak zadowolić ojca i poszedł w jego ślady, więc on, Ben, wyjechał.

Okej, to już odległa przeszłość. Na świecie jest pełno jasnowłosych chłopców. Wrócił do lektury.

Poczuł, że chłopiec zwrócił obiektyw aparatu w jego stronę, że zamierza zrobić mu zdjęcie. Podniósł wzrok w tej samej chwili, gdy rozległ się odgłos migawki. Chłopiec położył aparat na kolanach. Ich spojrzenia się spotkały.

Dzieciak nieśmiało się uśmiechnął. Nate!

Kobieta odebrała chłopcu aparat.

– Przepraszam – rzekła z uśmiechem. – Dusty dopiero dostał ten aparat. Jeśli pan sobie tego życzy, wykasujemy to ujęcie. – Uśmiechała się inaczej niż syn, ale też pięknie. Ten uśmiech zapraszał, by go odwzajemnić.

Nie zrobił tego zapatrzony w chłopca. Nate.

Nagle sam stał się małym chłopcem. W uszach zadźwięczały mu słowa matki: „Zapomnij o swoim bracie. Twój ojciec cię nie chce. Teraz on i twój brat są jedną rodziną, a my drugą”. Ale on i matka też nie stanowili rodziny. Został wykorzystany jako karta przetargowa w trakcie procesu rozwodowego. Nic poza tym.

– Mam na imię Dusty. A pan?

Chłopie, weź się w garść, ten dzieciak to nie Nate.

– Muszę to pilnie przeczytać – odrzekł niechętnie. Bo nawet gdyby chłopiec nie był podobny do jego brata, w tych dwojgu było coś, co sprawiało, że miał ochotę więcej się o nich dowiedzieć.

Nie! Ta kobieta wygląda na samotną matkę, podpowiadała mu intuicja. Zapomniałeś już, że Boże Narodzenie miało się odbyć bez kobiet?

Ale intuicja nie dawała mu spokoju. Nate...

Na świecie są miliony chłopców podobnych do twojego brata, więc się uspokój.

– Przepraszam, że panu przeszkadziliśmy – odezwała się kobieta i znowu się uśmiechnęła. Co za uśmiech...

Wycofaj się! Natychmiast.

– Nie ma sprawy – mruknął. Co mu szkodzi, powiedzieć, jak ma na imię? – A ja...

– Daj panu spokój – wtrąciła kobieta. – Pan chce czytać.

Uch, nie podejrzewała, że widok tego mężczyzny wywoła w niej taki niepokój. Dlaczego? Bo nazwisko Oaklander zwiastuje problemy.

Dzięki Bogu, jej myśli ruszyły innym torem, bo jedna ze starszych pań wyjęła spod kamizelki woreczek z małym wombatem i zaczęła go karmić. Zaciekawiona Jess przysunęła się bliżej.

Kobieta miała na sobie polarową kamizelkę, co w tak piękną pogodę wydawało się zbyteczne, ale teraz wszystko się wyjaśniło. Pod nią tuliła małego wombata. Był nie większy od męskiej pięści, a jego opiekunka karmiła go z niewielkiej butelki ze smoczkiem.

– Wombat – sapnął zafascynowany Dusty. – Malutki. Gdzie jest

jego mama?

– Zginęła potrącona przez samochód – wyjaśniła druga kobieta.

– Zabiera go pani na wyspę, żeby się nim zaopiekować?

– Tak, tam jest azyl dla dzikich zwierząt. Tam nie ma drapieżników, więc będzie bezpieczny.

– Co to są drapieżniki?

– Zwierzęta, które polują na wombaty.

Dusty podszedł jeszcze bliżej, bo druga starsza pani też coś chowała pod kamizelką. Nagle to coś się poruszyło.

– O, mamy dodatkowych pasażerów – szepnęła Jess.

– Niech pani nie mówi kapitanowi, bo będziemy musiały zapłacić. – Zerknąwszy na ich identyfikatory, Jess się dowiedziała, że mają na imię Marge i Sally. Marge, ta, która karmiła wombata, wyglądała na siedemdziesiąt lat. Sprawiała wrażenie wymizerowanej. Coś ją boli? Mimo to całą uwagę skupiała na karmionym zwierzątku. – Zawsze szmugujemy nasze maleństwa.

– Kapitan doskonale o tym wie – odezwała się Sally. – To żaden szmugiel, ale musimy trzymać je pod kurtką.

– Dlaczego? – zaciekawiał się Dusty.

– Bo one potrzebują ciepła – odparła Marge. – Wsuń rękę pod T – shirt. Prawda, że jest tam ciepło i przyjemnie? Idealne miejsce dla takiego malucha. – Przyjrzała się chłopcu przenikliwie. – Jak chcesz, to kiedy on już się naje, dam ci go ponosić. Ale obiecaj, że będziesz uważał.

– Tak, będę...

– Ile on ma? – zapytała Jess.

– Około dwóch miesięcy. Jak się urodził, był wielkości dużego ziarna fasoli, nie miał sierści, a skórę cienką jak papier. Normalnie

przechołgałby się do torby mamy i przesiedział tam osiem miesięcy, ale spotkała go tragedia. Jego matka zginęła. Trafił do nas tylko dlatego, że ktoś zajrzał do jej torby.

– To jest specjalna mieszanka? – zapytała Jess.

– W sytuacjach awaryjnych dajemy im zwyczajne mleko w proszku, dwukrotnie rozcieńczone, ale na miejscu mamy specjalną mieszankę. – Spojrzała na koleżankę. – Sally ma małą kolczatkę. Obydwa te zwierzęki są ssakami, więc muszą pić mleko swojego gatunku, tak jak mleko krowie jest dla cieląt.

– I dla nas.

– Ale nie dla maluszków – powiedziała Marge. – Jestem przekonana, że ty dostawałeś mleko swojej mamy.

– Ja? – zdziwił się chłopiec.

– T... tak – przyznała Jess, nie wiadomo dlaczego się czerwieniąc. Idiotyzm.

Hm... ale tej rozmowie przysłuchuje się Oaklander. Wstał z ławki i podszedł do nich.

– Każdy gatunek żywi się swoim mlekiem – oznajmił. – Odpowiednim dla jego małych.

– I mleko mojej mamy było odpowiednie dla mnie? – drażył Dusty.

Nie uszło uwadze Jess zdziwienie Bena, że dziecko podejmuje z nim rozmowę. Być może nie miał na to ochoty, ale przykucnął przed małym wombatem, by delikatnie pogłodzić go po łebku.

– Tak – rzekł półgłosem, bardziej zwracając się do wombata niż do Dusty'ego. – Mleko matki zawiera przeciwciała. Pijąc jej mleko, dziecko nabiera odporności na zarazki.

– Pan jest jednym z położników, którzy tu się zjadają na tę

konferencję? – zainteresowała się Sally.

– Tak. – Podniósł się, jakby miał zamiar odejść.

– Możemy pana potrzebować. – Sally zerknęła na Marge. – Cieszymy się z tej konferencji. Liczyliśmy, że kogoś poznamy.

– Nie znam się na porodach wombatów.

Dlaczego jest taki spięty? – zastanawiała się Jess.

Z obawy, że ona i Dusty naruszają jego prywatność? A może? Przeniosła wzrok na synka. Chyba zauważył podobieństwo.

– Mamy psa, suczkę – wyjąkała Marge. – Mopsa. I ona jest... w ciąży.

– Bardzo zaawansowanej – uściśliła Sally. – Na wyspie nie wolno trzymać psów, ale Pokey jest spokojna i niegroźna. Jest pupilkiem Hildy, siostry Marge, ale miesiąc temu Hilda była zmuszona przeprowadzić się do domu spokojnej starości. Nie miała serca jej uśpić, a ponieważ my prowadzimy azyl dla zwierząt...

– Przemyciliśmy ją – wyznała Marge. – Pracujemy tam we trzy, Sally, Dianne i ja. To dobrze, że na wyspie obowiązuje taki zakaz, ale w tej sytuacji uznaliśmy, że nic się nie stanie, jak ją weźmiemy. Ale ona zaczęła tyć. – Marge westchnęła. – Coraz bardziej.

– Nie mamy wątpliwości, że jest szczenna – dodała Sally – więc mamy problem. Może coś jej się stać, a na wyspie nie ma weterynarza.

– Nie ma weterynarza, a jest schronisko dla zwierząt? – zdumiał się Ben.

– Przeszliśmy szkolenie – zachnęła się Marge. – Złożyliśmy się, żeby założyć ten azyl i do śmierci będziemy tam pracować. Taką emeryturę sobie wymarzyliśmy. Weterynarz odwiedza nas raz w tygodniu, nie stać nas na opłacanie go codziennie. I nie przyznałyśmy się,

że mamy Pokey.

– Bo by powiedział, że nie wolno nam jej trzymać. – Sally się zawahała. – Po świętach odwiedzi nas córka Marge i mamy nadzieję, że ją weźmie, ale na razie musimy się nią opiekować. Martwimy się, bo dzikie zwierzęta rodzą bez problemów. Kangury, wombaty, oposy rodzą się maleńkie, a gdyby Pokey miała problemy, to nie wiedziałybyśmy, co robić.

– Ale jak się dowiedziałyśmy o konferencji położników, pomyślałyśmy, że poszukamy jakiegoś miłego doktora i mu się zwierzymy. A pan... wygląda na dobrego człowieka.

Milczenie. Ben i dobry człowiek? – zastanawiała się Jess. Dobry Oaklander? Niemożliwe.

– Moja mama też jest położnikiem – wyrwał się Dusty.

Jess i Ben, dwoje położników i ciężarna suka. Starsze panie siedziały z minami pełnymi nadziei.

– Pani też na to sympozjum? – zapytał Ben.

– Tak, ale nie zamierzam odbierać panu pacjentki. – Uśmiechnęła się z przymusem.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Jest spięty, pomyślała, i chyba nie tylko dlatego że został wciągnięty w spisek. Zerknął na Dusty'ego. Tak, coś podejrzewa.

– Proszę się nie obawiać, nie będziemy pana nękać.

Dlaczego jej się to wyrwało? Bo język jego ciała wskazywał, że Dusty, a nawet dwie starsze panie i ich zwierzaki, stanowią dla niego zagrożenie.

Dobry człowiek? Ha! Przypomniał się jej wieczór, kiedy poinformowała Nate'a, że jest w ciąży. Odciał się od wszelkiej

odpowiedzialności. To typowe dla Oaklanderów.

– Co będziesz robił, jak mama pójdzie na konferencję? – Sally zwróciła się do Dusty’ego, jakby nieświadoma tego, co dzieje się między Benem i Jess, między Benem i pozostałymi. Jakby problem Pokey został już rozwiązany, W razie czego Ben pomoże.

– Będę grał na komputerze – odparł Dusty udreńczonym tonem. Był w tym świetny. – Zawsze tak jest, jak mama idzie do pracy. Mama mówi, że będzie ze mną ktoś z obsługi hotelowej. Mnie to nie przeszkadza. Przywykłem.

Aha! Wzrok wszystkich spoczął na niej, a ona poczuła, że się czerwieni. Zła matka, która zostawia dziecko na pastwę obsługi hotelowej i komputera.

Przed wyjazdem upewniła się, czy w hotelu jest opiekunka i ustalili z Dustym, że rano będą chodzili na plażę, kosztem kilku pierwszych referatów. Nie będzie mu się działa krzywda.

– Niełatwe jest życie samotnej matki – mruknęła.

Za to Dusty napawał się sytuacją.

– Nie przejmuj się – rzekł wspaniałomyślnie.

– Może miałbyś ochotę trochę nam pomóc w schronisku? – zapytała Sally, litując się nad sierotką.

– Przydałby się nam pomocnik. – Marge obdarzyła sierotkę ciepłym uśmiechem. – Jeżeli lubisz zwierzęta. Mama przyprowadzałaby cię rano, a potem by cię odbierała. To niedaleko. Myślisz, że by ci się podobało?

– Mamy różne zwierzaki – włączyła się Sally. – Oposy, kolczatki, kangury, warany, różne ptaki i żółwie. Wyglądasz na chłopca, który lubi pomagać.

Wyczuły go! Zwierzęta fascynowały go od najmłodszych lat.

Sumiennie opiekował się kotem babci, który zmarł tuż przed nią, czytał książki o zwierzętach i nawet teraz, kiedy upajał się swym sieroctwem, nie spuszczał oczu z maleńkiego wombata.

– Oczywiście, jeżeli mama się zgodzi – zastrzegła się Marge.

– Chyba bardzo trudno łączyć pracę z macierzyństwem – odezwał się nagle Ben.

Nie patrzyła na niego, oczekując przygany, ale w jego głosie chyba zabrzmiało... zrozumienie?

– Pacjenci rzadko zdają sobie sprawę, że lekarze mają rodziny – dodał półgłosem, a ona przeniosła na niego wzrok. – Nagłe wypadki nie zawsze zdarzają się w godzinach lekcyjnych. A jeśli mama Dusty’ego ma być dobrym położnikiem, musi się doksztalać i, na przykład, wziąć udział w takiej jak ta konferencji. Myślę, że przyjeżdżając z nią, Dusty więcej skorzysta, niż gdyby został w domu.

– Tak, tak. – Dusty nareszcie zrezygnował z roli sierotki. – Podczas ferii mama pojechała na szkolenie, a ja przez trzy dni byłem u cioci Rhondy, a ona dzień w dzień kazała mi jeść pieczeń wołową i rozgotowane warzywa. Tutaj będzie lepiej.

To oświadczenie rozładowało atmosferę.

– Więc jak, Dusty? Wolisz nam pomóc czy siedzieć przed komputerem? – zapytała Marge już innym tonem. Uwaga Bena najwyraźniej odniosła skutek.

– Nie wiem... – Dusty spojrział na Jess.

– Przyjdź do nas jutro, żeby się rozejrzeć – zapraszała Marge. – Przyjdźcie wszyscy. – Popatrzyła ciepło na Bena. – Wasza konferencja jeszcze się nie zaczyna, więc wpadnijcie jutro o dziesiątej. – Umilkła, a Jess znów dostrzegła na jej twarzy grymas bólu. – Dokucza mi noga –

wyznała. – Moglibyście pomóc przy sprzątaniu.

– Będę wtedy zajęty – odezwał się Ben.

– Tak bardzo, że nie będzie pan miał czasu zwiedzić naszego schroniska? – zapytała Marge z niedowierzaniem. – Poznałby pan Pokey.

– Nie muszę jej poznawać.

– Ale nam bardzo na tym zależy. A skoro my zajmiemy się pana synkiem, to mógłby pan to dla nas zrobić.

– Dusty nie jest moim synkiem.

– Jak to? – Starsza pani wodziła wzrokiem od Bena do Jess i z powrotem. – Wy się nie znacie?

– Nie.

– Ale on jest do pana podobny jak dwie krople wody.

Dusty popatrzył na Bena, potem na matkę. Otworzył usta.

– Nie znamy się – odrzekła Jess pospiesznie.

– Ale oboje jesteście położnikami – zauważyła trzeźwo Sally, nie kryjąc zachwytu. – Fantastycznie. Tego trzeba Pokey. Marge po was przyjedzie. I nie martwcie się o honorarium.

– Ja nie... – bąknął Ben.

– Pan nie bierze pieniędzy? – ucieszyła się Sally. – Wiedziałam. Przyjmujemy datki dla naszej organizacji. I zdajemy sobie sprawę, że chodzi o opiekę i zero odpowiedzialności. Więc jeśli nie ma przeciwwskazań, oczekujemy was jutro rano.

– Mam mnóstwo do przeczytania – bronił się Ben.

– Rozumiem. Więc niech pan czyta teraz, żeby jutro mieć czas dla nas. – Spojrzała na Jess. – Pozwoli pani synkowi potrzymać wombata?

ROZDZIAŁ TRZECI

Centrum konferencyjne okazało się tak piękne, jak obiecywał internet. Zamiast hotelowych pokoi rząd domków, każdy z werandą z widokiem na morze. Po otwarciu drzwi miało się wrażenie, że jest się na plaży.

Kathy, dziewczyna z hotelowej obsługi w zaawansowanej ciąży, sądząc po akcencie Irlandka, towarzyszyła im do domku, po drodze opowiadając o urokach wyspy. Poinformowała ich także, gdzie można załatwić lekcje surfingu dla Dusty'ego. Dwie minuty później przed ich bungalowem przemaszerował kazuar.

Dusty był tym tak podniecony, że zapomniał o Benie, a Jess nie ciągnęła tego wątku. Gdy biegli nad wodę, wyrzuciła go z pamięci. Prawie. Żeby nie iść do restauracji, nie tylko dlatego, że mogliby się tam natknąć na Bena, ale też z powodu zmiany strefy czasowej, zamówiła kolację do pokoju, którą dostarczyła im przemiła Kathy. Wyczerpani padli do łóżek.

Gdy się obudzili, do domku wlewały się promienie słońca, na piasku krzątały się bekasy, szumiał turkusowy ocean. Jess pomyślała, że umarła i znajduje się w niebie.

Dobrze zrobiła, przywożąc tu Dusty'ego, daleko od smutku z powodu pierwszych świąt bez ukochanej babci, od londyńskiej pluchy i zimna...

Dusty się budził. Jeszcze w półśnie sięgnął do leżącej na podłodze łopaty, w którą wraz z wiadrem zaopatrzyła go Kathy. Wieczorem zbudowali największy zamek z piasku na całej plaży, a potem Dusty

starannie opłukał łopate i położył ją przy łóżku. W ciągu nocy Jess słyszała, jak od czasu do czasu jej dotyka, jakby chciał się upewnić, że to miejsce istnieje naprawdę.

Ona też potrzebowała takiego zapewnienia. Plaża i śniadanie, ale potem... Potem z Benem wsiądą do pojazdu z azylu, by pojechać do Marge i Sally. Czy powinna teraz porozmawiać z Dustym? Chyba nie. Rozmawiali o tym w Anglii. Spotkanie z Benem miało mieć charakter przypadkowy, więc im mniej będzie o nim mówiła, tym lepiej.

Spoglądając na połyskującą taflę wody, czuła wszechogarniający spokój. Te wakacje wyznaczają koniec długiej walki, wielu lat problemów finansowych, zamartwiania się o syna i o matkę. Nareszcie są szczęśliwi. Nieważne, że będą tu krótko, bo wspomnienia z tej wyspy zostaną z nimi na zawsze. A gdy Dusty otrzyma potwierdzenie, kim jest Ben, zapamięta go i będzie mógł opowiadać o nim kolegom.

– Mój wujek mieszka w Australii. I jak moja mama jest lekarzem położnikiem, ale czasami pomaga sukcom urodzić szczeniaki.

Uśmiechnęła się na wspomnienie przerażonej miny Bena, gdy Sally wspomniała o mopsie w zaawansowanej ciąży. Jak zareaguje, gdy ich pokrewieństwo wyjdzie na jaw? Jeżeli będzie niemiły dla Dusty'ego...

Ona do tego nie dopuści, bo teraz jest silna. Bała się ojca Nate'a, ale to się nie powtórzy. Ochroni dziecko.

Ale Dusty już się obudził i z niekłamanym zachwytem spoglądał na morze. Popływać przed śniadaniem? Oczywiście! Kto by się przejmował Benem Oaklanderem? Przed nimi dziesięć dni w raj.

Obudził go ich śmiech. Wyjrzał przez okno. Jess i Dusty baraszkowali na płyciźnie, śmiali się, biegali, rzucali na fale. Matka i syn. Obserwował ich w bezruchu, by go nie zauważyli, żeby nie zburzyć ich

szczęścia.

Nie miał wątpliwości, że są szczęśliwi. Jess miała na sobie czerwone bikini. Ilekroć wynurzała się z wody, odgarniała z twarzy włosy. Roześmiana zachęcała chłopca do zabawy, a on odpowiadał jej śmiechem.

Dusty był zachwycony.

Rodzina. Może i ja bym tak potrafił? – przeszło mu przez głowę. Pod warunkiem, że byłby gotowy podjąć takie ryzyko, a nie był.

Reakcja Louise podczas ostatniego spotkania nim wstrząsnęła, tym bardziej że od początku deklarowała niechęć do posiadania dzieci. Dobrali się jak w korcu maku jako lekarze, przyjaciele, a w razie potrzeby jako kochankowie, kiedy nie kolidowało to z ich życiem prywatnym. Zaskoczyła go taka zmiana frontu.

Przed wyjazdem ją odwiedził, by przeprosić.

– Wydawało mi się, że od początku jasno stawiałem sprawę, ale powinienem był się upewnić.

– A ja powinnam była cię uprzedzić, że moje nastawienie się zmienia – przyznała. – Tak, mówiłam, że rodzina mnie nie interesuje, że nie chcę mieć dzieci. Sama nie wiem, dlaczego to się zmieniło, ale taka jest prawda.

Rozstali się w przyjaźni, zwłaszcza że Louise już miała na oku pewnego pediatrę, młodego wdowca z dzieckiem.

Po raz kolejny jego wzrok powędrował ku plaży. Doktor Jessica McPherson. Wczoraj wieczorem przeczytał o niej w internecie. Studia w Wielkiej Brytanii, pracuje w Londynie. Przybędzie na sympozjum w towarzystwie syna. Łączy pracę z wypoczynkiem.

Gdyby nie miała dziecka, mógłbym poświęcić jej trochę czasu, pomyślał, bo jest w moim typie. Inteligentna, piękna, wesola. I za dziesięć

dni wyjedzie.

Inteligentna, piękna, wesoła. Przyjrzał się jej uważniej. A do tego rozkoszna. Jak ona się śmieje, jak turla się z synem po piasku... bez żadnych zahamowań.

Ale ma dziecko, a jego dzieci nie interesują. Nieoczekiwanie stanął mu przed oczami Nate. Mimo że znajdował się w prawdziwym raju, poczuł narastające napięcie. Łagodnie mówiąc, jego rodzina była dysfunkcyjna, ale brat był dla niego wszystkim. Miał osiem lat, gdy on skończył jedenaście. Młodszy, zapatrzony w niego. Rodziców widywali z rzadka, opiekowały się nimi nianie, ale mieli siebie.

Aż tu nagle małżeństwo rodziców się rozpadło. Gdy obudzili się pewnego dnia, wszystko było skończone.

– Ben, kochanie, jedziesz ze mną. W Australii jest świetna szkoła. O ile się orientuję, chodzą do niej dzieci rodziny królewskiej, a Arthur, ten miły pan, którego poznałeś w zeszłym tygodniu, mieszka w Melbourne. Będziemy razem zwiedzać Australię. Twój ojciec chce, żeby Nathaniel został przy nim, więc pożegnaj się z bratem. Ojciec gdzieś wyjechał. Myślę, że z nikim nie chce się pożegnać.

Potem latami nie widział Nate'a, a kiedy w końcu się z nim spotkał, Nate trzymał stronę ojca. Całą winę zwałił na niego. Kipiał jadem. Żeby znowu to przeżywać... Nie, rodzina go nie interesuje.

Na zewnątrz Jess i Dusty szaleli, oblepieni mokrym piaskiem straszili się nawzajem, udając potwory i piszcząc z zachwytu. Jak Jess by się czuła, gdyby coś się stało jej synowi? Co czułby Dusty, gdyby stracił matkę? Nie myśl o tym. Ale myślał o tym stale, a myśl o rodzinie go przerażała. Więc...

Ma jeszcze dwie godziny do wyprawy do azylu dla zwierząt. Nie

pojmował wprawdzie, jak dał się na to namówić, więc musi to załatwić. Na razie zje śniadanie, a potem pójdzie popływać.

Zrobiłby tak, gdyby nie to, że oni tam byli. Ta rodzina. Musi popracować. Śniadanie, kilka długości w hotelowym basenie, a potem godzina przy komputerze.

Dusty niechętnie zszedł z plaży na śniadanie, ale gdy zgodnie z umową zjawiała się Sally za kierownicą zdezelowanego wózka, wytrzeszczył oczy i zaniemówił. Dziecko, które na co dzień mieszkało w sercu Londynu, uznało, że znalazło się w niebie.

Najwyraźniej zapomniał o podszeptach intuicji na temat mężczyzny na promie, więc gdy Sally zatrzymała się przed bungalowem Bena, uwadze Jess nie uszło zaskoczenie na twarzy syna. Toczyła się w nim wewnętrzna walka: plaża i egzotyczne zwierzęta albo facet, który być może jest jego wujkiem.

Czy powinna coś powiedzieć? Na przykład, że ten facet jest do kogoś podobny? Za późno. Nie pozostało jej nic innego, jak spokojnie czekać na rozwój sytuacji.

– Cześć! – zawołała radośnie Sally. – Jesteście dzisiaj skazani na to, że to ja prowadzę, bo normalnie robi to Marge. Zrobiłam prawo jazdy dopiero po śmierci męża, to znaczy po sześćdziesiątce, więc nie mam wprawy. Ale Marge słabo się czuje. Nie mówcie do mnie, bo muszę się skupić. I mocno się trzymajcie.

Nie bardzo było czego się trzymać, bo za kierowcą były jedynie dwa podwójne twarde siedzenia, na wprost siebie.

Jess usiadła razem z Dustym, Ben twarzą do nich.

– Dostał pan łopate? – zagadnął go Dusty.

– Nie. – Ben sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Jess tymczasem pomyślała ponuro, że jest bardzo podobny do brata. Oraz jej syna.

– A ja dostałem – ciągnął Dusty. – Jest super. Zbudowałem wielki zamek z fosą. Tuż za linią przyływu, żeby pod wieczór woda wypełniła fosę. Chce pan go obejrzeć, jak wrócimy?

– Jak wrócimy, pan doktor będzie pracował – rzekła Jess, co spotkało się z aprobującym spojrzeniem Bena.

– To prawda. Mam prezentację.

– Podziwiam ludzi, którzy mają odwagę występować przed audytorium – wyznała Jess. – Mnie to przeraża.

– Mnie przeraża posiadanie syna.

– Nie ma pan dzieci? – Tak na pewno zareagowałby każdy inny lekarz, pomyślała.

– Nie mam rodziny.

– Jak to? Nikogo?

– Nasz azyl jest już za tym wzgórzem! – zawołała beztrąsko Sally. – Oj, chyba! Trzymajcie się!

Wózek podskoczył na jakimś garbie, po czym mocno się przechylił. Jess chwyciła Dusty'ego, Ben ją. Gdy Sally gwałtownie zahamowała, wszyscy troje znaleźli się na podłodze. Przerażona Sally obejrzała się na swoich pasażerów.

– O Boże... Marge mówiła, że bym na tę wydnię nie podjeżdżała za szybko. Całkiem o tym zapomniałam. Nic wam się nie stało?

– Chyba nic. – Ben obejmował Jess tak mocno, że brakowało jej tchu. Dusty leżał pod nią. Jego też Ben obejmował. Dusty zachichotał.

Nie mając wyjścia, czuła, że też powinna się roześmiać, ale... ale znalazła się blisko Oaklandera. Starła się nie łączyć go z Nate'em, ale nie

mogła zapomnieć, jak Nate na nią działał. Łączyć, nie łączyć, Ben to też Oaklander, ale nie mogła się spod niego wydostać.

– Lepiej będzie, jak zostaniemy na podłodze – orzekł Ben. – Niżej nie spadniemy.

Odsunął się nieco, by mogła swobodniej oddychać, za to ona mocniej przytuliła Dusty'ego.

Dusty znowu zachichotał. W końcu i ona się roześmiała. Bo co miała zrobić? Ben oplatał ją ramionami. Trzymał ją Oaklander... ale jakoś inaczej.

– Sally, już jedźmy – odezwał się, więc Sally wrzuciła bieg i ruszyła.

Trzy minuty później byli na miejscu. Jess niemal żałowała, że to koniec podróży. Skąd taka głupia reakcja?!

Na stopniach werandy oczekiwała ich Dianne.

– Sally, przecież Marge cię prosiła, żebyś jechała wolno! – zawołała, widząc gości na podłodze wózka.

– Jechałam wolno – odparła bez troski Sally. – No, dosyć wolno. Muszę ćwiczyć.

– Było bardzo... miło – odezwała się Jess, podnosząc się. Ben wysiadł z wózka, zdjął Dusty'ego, po czym wyciągnął do niej obie ręce.

Spojrzała na nie, zastanowiła się, po czym uznała, że nie skorzysta z jego pomocy, ale wysiadając, zachwiała się. Ben chwycił ją za rękę, żeby nie upadła. Siła.

– No nie wiem – fuknęła Dianne, piorunując Sally wzrokiem. – Chyba byłoby wygodniej na piechotę. Ale skoro już tu jesteście... Nasze maleństwa czują się dobrze. Wombat czuje się wyśmienicie. Myślę, że to dlatego, że Dusty go wczoraj przytulał. Przytulanie to najlepsze lekarstwo.

– Nieco spochmurniała. – Prawie na wszystko. Chodźcie i zobaczcie sami.

Jess wyobrażała sobie, że będzie to skromne schronisko prowadzone przez trzy emerytki. Myliła się. Dianne i Sally okazały się profesjonalistkami, a ich ośrodek pełnił także funkcję centrum badawczego jednego z australijskich uniwersytetów. Hodowano tu i wypuszczano na wolność osobniki zagrożonych gatunków.

– To jest nasz oddział dziecięcy – oznajmiła z dumą Sally, gdy weszli do jednego z bungalowów, gdzie na ścianach wisiały na haczykach rzędy woreczków. – W każdym z nich jest kocyk elektryczny nastawiony na temperaturę optymalną dla każdego zwierzaka. Niektóre maleństwa się nie pocą, więc temperaturę należy dostosować do ich potrzeb.

– Jaki macie współczynnik przeżywalności? – zapytał rzeczowo Ben.

– To zależy. Jeśli matka ginie, a małe uchodzi bez szwanku i od razu ktoś się nim zaopiekuje, ma spore szanse na przeżycie – mówiła rzeczowym tonem. – Ale czasami maleństwo wypada z matczynej torby i nikt go nie podnosi. – Uśmiechnęła się smutno. – Zdarzają się też wady genetyczne. Do tej pory trudno nam przejść nad tym do porządku dziennego. Robimy, co się da, ale wszystkich uratować nie możemy. Chcecie obejrzeć naszą kuchnię? Mamy najlepszy na świecie system przygotowywania mieszanek. Dusty, nie zechciałbyś nam pomóc przy karmieniu? Poza tym zawsze jesteśmy wdzięczne za pomoc przy sprzątanii klatek. – Zerknęła na nich. – A czego się spodziewaliście? Nie zapraszamy tu gapiów, ale zawsze jesteśmy otwarte na chętnych do pomocy. Bo zawsze brakuje nam rąk do roboty. Dzisiaj jeszcze bardziej, bo Marge źle się czuje.

– Czy możemy pomóc Marge? – zapytała Jess.

– Nie, bo to tylko ból nogi. Tydzień temu kopnęła ją walabia. Kopniaki to w naszej pracy codzienność.

Wczoraj miała masaż i dlatego tylko we dwie popłynęłyśmy po nowe zwierzaki, ale chyba jej to bardziej zaszkodziło, niż pomogło. Mam wrażenie, że się przeziębila. Na szczęście zgodziła się dziś nie pracować.

– Jesteśmy lekarzami. Nie chcesz, żebym...?

– Byłaby na mnie wściekła, gdybym cię o to poprosiła – wyjaśniła Sally. – Nie lubi sprawiać kłopotu. Nie powinna tu być, ale ona chce umrzeć, wykonując pracę, którą kocha, a Dianne i ja to szanujemy. Same też tak byśmy chciały. – Otrząsnęła się. – Dzisiaj dała się namówić na dzień odpoczynku, a to wielki sukces. Leży w łóżku z Pokey, ale ma wyrzuty sumienia, a jak zaczniemy ją nękać, to wstanie, choćby tylko po to, żeby nam coś udowodnić. Okej. Bierzmy się do roboty.

Karmili zwierzaki, sprząтали klatki. Zwierzęta przebywały na osobnych wybiegach w zależności od wieku, płci oraz gatunku. Na każdym wydzielono wybetonowaną część, gdzie odbywało się karmienie lub leczenie. Jess sprzątała wybieg wombatów szorstkonosych, Ben i Dusty w zagrodzie dla żółwi szorowali beton wokół basenu.

Nie słyszała, o czym rozmawiają.

– Chcecie pracować razem czy osobno? – zapytała ich Sally.

– Osobno – wyrwało się Jess.

– Razem! – zawołał w tej samej chwili Dusty. Ben nie odpowiedział.

– Zatem sprawa jest jasna. Ty, Jess, idziesz do wombatów, a Dusty i Ben do żółwi – zdecydowała Sally.

Jess widziała ich z odległości pięćdziesięciu metrów. Dusty zadawał pytania, a Ben odpowiadał, czyszcząc beton, jakby nieobca była mu

ciężka praca. Dusty dzielnie starał się mu dorównać. Nawet z oddalenia Jess zauważyła, jak rodzi się kult bohatera.

– Myślę, że to jest doktor Oaklander – szepnął jej do ucha Dusty, gdy Sally oprowadzała ich po azylu, a ona przytaknęła. Przedstawili się sobie nawzajem jako Dusty i Jess oraz Ben. Nie uszło wtedy jej uwadze, że Dusty zastrzygł uszami.

– Sprawdź go – doradziła synowi. – Lepiej nie mów nic konkretnego, dopóki się nie upewnisz.

Dusty najwyraźniej wziął to sobie do serca albo znowu zapomniał i po prostu cieszył się chwilą. Działo się tyle, że być może nie miał czasu na myślenie.

Brakuje mu męskiego towarzystwa, przyszło jej na myśl. Nie ma dziadków ani wujków, wychowawczyni to kobieta, nawet karate uczy go kobieta. O czym rozmawiają? Umierała z ciekawości.

To, jak zareagował na Dusty'ego, mocno go speszyło. Prawdę mówiąc, dzieci nigdy go nie interesowały. Zapominał o nich, gdy przestawały być noworodkami. Dostrzegał je, to jasne. W trakcie studiów miał nawet praktyki z pediatrii. Ale teraz... Najwyraźniej decyzja unikania rodzin sprawiła, że potrafił się zdobyć jedynie na to, by tolerować rodzeństwo noworodków.

Ale Dusty był... inny. Intrygował go. Okazał się dzieckiem niehałaśliwym. Wszedł do zagrody dla żółwi bez słowa i przez kilka pierwszych minut sprzątał w milczeniu. Dopiero później, gdy żółwie oswoiły się z ich obecnością, zdecydował się odezwać.

– O, tu są trzy gatunki żółwi lądowych – zauważył. – Niech pan popatrzy na ich tarczki. I dwa gatunki wodnych. Mnie się podobają wodne.

– Hodowałeś żółwie?

– Mieszkamy w Londynie. Na pewno by się im tam nie podobało.

Dusty dalej pracowicie szorował beton. Po chwili znowu zerknął na Bena.

– Co powiedział ślimak, jadąc na grzbiecie żółwia?

– Nie wiem. – Ben z przyjemnością patrzył na uśmiechniętą buzię chłopca. Ten uśmiech po raz kolejny kogoś mu przypominał. To na pewno jest...

– Juhuuu!

Niemal wbrew sobie Ben się roześmiał.

– Zna pan jakieś dowcipy o żółwiach?

Ben się zastanowił. On i Nate zbierali książki z dowcipami. Wymienianie się nimi było ich ulubioną rozrywką, a Ben miał doskonałą pamięć.

– Tak się składa, że znam – odparł, a Dusty zamarł w oczekiwaniu.

Fantastycznie, pomyślała Jess. Dusty poznaje swojego wujka bez napięć, jakie mogłoby wywołać ujawnienie ich pokrewieństwa. Zajmie się nimi, jak wystąpią, postanowiła. Tymczasem wombaty przyglądały się jej nieprzychylnie ze swojej nory, czekając, aż doprowadzi do porządku ich mieszkanie.

Sprzątanie sprawiało jej przyjemność. Słońce nie prażyło, a wombaty nie przeszkadzały. To zajęcie pozwalało jej zapomnieć o smutku z powodu śmierci matki, o stresie związanym z pracą, o nieustającym niepokoju o Dusty’ego...

To ją dręczyło najbardziej, bo od śmierci babci Dusty był osowiały, ale teraz... Ma wujka. Ben może się o tym dowiedzieć lada chwila. A gdy już to się stanie, jeśli Ben zareaguje pozytywnie...

Przeniosła na nich wzrok. Pracowali ramię w ramię. Gdyby Ben uznał, że chce być wujkiem...

Za dużo gdybania, tym bardziej że ona nie chce mieć nic wspólnego z żadnym Oaklanderem.

– Jestem skołowana – rzekła do wombatów, a one popatrzyły na nią obojętnie.

Skołowana, ale szczęśliwa? Tak, szczęśliwa. Znalazła się w najpiękniejszym zakątku świata. Niech się dzieje, co chce, Dusty spotkał wuja.

– Pomagałem wujkowi sprzątać zagrodę dla żółwi. – Wyobraziła sobie, jak Dusty przechwala się przed kolegami. – Mój wujek jest bardzo dowcipny.

Ben kilka razy roześmiał się tak głośno, że dwie zoolożki, pracujące spory kawałek od nich, aż się odwróciły. Która kobieta nie zwróciłaby uwagi na taki męski śmiech? Czy Nate śmiał się podobnie?

Nie mogła sobie przypomnieć. Wspomnienie Nate'a było bardzo niewyraźne: ognisty romans, a potem nic.

Za to Ben tu jest. Nate na pewno śmiał się tak samo. Gdyby było inaczej, nie straciłaby dla niego głowy.

– Tym razem nie stracę głowy – obiecała wombatom. – Wykluczone. Oczyszczę wasz wybieg i pójdę dalej.

Do zagrody walabii, nie do Bena Oaklandera. Nawet tam nie podejdzie. Nagle znieruchomiała, widząc, jak z domu wybiega Sally. Starsza pani się rozejrzała, dostrzegła Jess, ale nie mogła wykrztusić ani słowa.

– Ja... ja...

Jess błyskawicznie przypomniała sobie praktyki na oddziale

ratunkowym, ten wyraz twarzy...

- Sally, co się stało?
- Marge... – wykrztusiła Sally.

Z turystki Jess w sekundę przeistoczyła się w lekarza.

- Ben! – wrzasnęła. – Jesteś tu potrzebny!

TTLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ból nogi i przeziębienie?

Marge leżała w pościeli, z trudem chwytając oddech. Jess już od drzwi zauważyła objawy sinicy. Ben też to dostrzegł. Natychmiast rozerwał jej pod szyją koszulę nocną, po czym podjął ją pod pachy, gdy tymczasem Jess wyżej układała poduszki, by jak najprędzej zdjąć ciężar z jej klatki piersiowej. Gdy w nogach łóżka zawarczał mops, Sally jednym ruchem zrzuciła go na ziemię.

Pies zaskomlał. Sally płakała. Do pokoju wpadła Dianne, a za nią Dusty i dwie zoolożki.

Marge była przytomna, ale oddech miała płytki. Gdy znalazła się w pozycji półleżącej, zakasłała, wypluwając na pościel czerwony skrzep.

– Ból nogi... kopnął ją kangur... i wczoraj masaż, żeby złagodzić ból – recytowała Jess, zerkając na Bena.

Już wiedzieli, z czym mają do czynienia. Zatorowość płucna. Wskazywały na to ból przy oddychaniu, płytki oddech, niedobór tlenu, czego objawem były sine wargi. Wczorajszy masaż bolącej nogi uruchomił skrzep...

Należało umieścić ją w szpitalu, należało wyprosić ludzi z pokoju, ale priorytetem Bena było ją uspokoić, bo strach zdecydowanie pogarsza sytuację.

– Marge, wiemy, co się z tobą dzieje, i wiemy, co trzeba zrobić – przemawiał opanowanym głosem. – Sally mówi, że w zeszłym tygodniu kopnął cię kangur – dodał. – Kawałek skrzepu się oderwał i dostał do płuc, dlatego tak trudno ci oddychać. Bo ten skrzep nie dopuszcza

powietrza do płuc. – Poglądził ją po ręce. – A źródłem bólu jest zapadnięte płuco. Trzeba ci podać środek przeciwbólowy oraz tlen. Jak to znaję, poczujesz się lepiej. Wezwiemy latający ambulans, bo tylko w szpitalu można będzie podać ci leki rozrzedzające krew, żeby zapobiec powstawaniu nowych skrzepów. Nie bój się.

Wszyscy stali zaszuchani w jego niski kojący głos. Marge w dalszym ciągu oddychała z trudem, ale przerażenie w jej spojrzeniu nieco zmalowało. Ben nie przestawał do niej przemawiać. Jess pomyślała, że jeśli jest człowiek, którego chciałaby mieć przy sobie w sytuacji kryzysowej...

Nate też obiecywał opiekę, pomyślała. Poznała go na pierwszym roku studiów w Londynie. Był to dla niej bardzo trudny okres. Matka leżała w szpitalu ciężko chora i nikt nie wiedział, czym to się skończy. Kiedy w końcu matkę wypisano, ciocia – babcia Jess zabrała ją do Yorkshire.

– Zajmij się studiami – zarządziła. – Matkę zostaw mnie. Co będzie, to będzie.

Rzuciła się w wir studenckiego życia, dawała koleżankom prowadzić się w różne miejsca. I tak poznała Nate'a. Przygarnął ją i obiecał, że będzie się nią opiekował, sprawił, że zapomniała o swoich troskach.

Naiwna idiotka. Ale teraz nie pora na rozpamiętywanie przeszłości. Trzeba działać.

– Sally, podobno macie tu sprzęt weterynaryjny.

– W komórce zamkniętej na klucz – odparła jedna z dziewcząt. – Ale tylko weterynarz ma klucz.

– Zaprowadź mnie tam. – Jess wymieniła spojrzenia z Benem. Porozumieli się bez słów.

– Nie wiem, czy Jeff... – odezwała się druga z dziewcząt.

– W tej chwili Jeff nie ma nic do powiedzenia – uciszyła ją Jess. – O konsekwencje będziemy martwić się później. – Zerknęła na identyfikatory dziewcząt: Sarah i Naomi. – Pracujecie przy programie hodowli kazuarów, tak? Opowiedzcie Dusty’emu, na czym to polega. Naomi, mogę powierzyć go twojej opiece? Dusty, przyjdę do ciebie, jak Marge poczuje się lepiej.

To też jest obietnica. Jak Marge poczuje się lepiej... Wszyscy to słyszeli, a Ben nawet kiwnął głową z aprobatą. Dusty był przerażony, wszyscy byli przerażeni, ale należało działać.

– Sally, posiedź przy Marge i staraj się podnieść ją na duchu. – Uśmiechnęła się lekko. – Dianne, wyjdź z Pokey i ją uspokój, a potem wezwij śmigłowiec. Powiedz, że mamy kobietę z zatorem płucnym.

– Powiedz, że to jest nagły wypadek – dodał Ben. Mówił tak opanowanym głosem, że słowo „nagły” wcale nie zabrzmiało groźnie. – Marge będzie lepiej w szpitalu. Powiedz też, że jest przy niej dwoje lekarzy, którzy uważają, że konieczny jest śmigłowiec.

Jess otworzyła komórkę weterynarza. Sarah zaproponowała, że wykręci śruby z zawiasów, ale Jess zależało na czasie, więc ku przerażeniu Sarah raz i drugi zamachnęła się siekierą, odbijając oba zawiasy. Obserwowali je Naomi i Dusty.

– No, no! – zawołał Dusty. – Nie wiedziałem, że potrafisz wyważać drzwi.

– Ja też nie wiedziałam.

Nieznany im Jeff okazał się bardzo skrupulatnym weterynarzem. Każda półka i każdy pojemnik były podpisane. Zmieściła się tam też niewielka lodówka z lekami. Morfina? Jest. Strzykawki? Wszystkie

wielkości. Różne stetoskopy. Koncentrator tlenu, pulsoksymetr, rurki, nożyczki, plaster, wszystko, czego potrzebowała.

Teraz z powrotem do Bena. Boże, proszę...

– Mamo... – Zatrzymała się. – To tak samo jak babcia – wyszeptał Dusty, a ona go przytuliła.

– Mam nadzieję, że nie.

– Uratujcie ją. Ty i wujek Ben.

Błyskawicznie podali Marge morfinę oraz tlen, ale potem mogli już tylko czekać.

– Śmigłowiec będzie za kwadrans – poinformowała ich Dianne. – Zrobić... herbatę?

– Marge, napijesz się? – Ben zwrócił się do chorej. Że też pomyślał o czymś tak przyziemnym jak herbata...

Marge odmówiła, więc Ben przystąpił do badania. Wyniki były zatrważające. Pięć minut od podłączenia jej do tlenu wysycenie krwi tlenem wynosiło zaledwie dziewięćdziesiąt procent. Ben osłuchiwał ją z kamienną twarzą, ale Jess się domyśliła.

– Zgadzasz się, żeby i Jess cię zbadala?

Dzięki morfinie Marge trochę się rozluźniła.

– Jasne, bierz się do roboty.

Jess usłyszała słaby, ale charakterystyczny odgłos płuca szorującego o żebra. Potwierdziły się ich podejrzenia. Płuco opadało, w miarę jak zator się powiększał. Ze ściśniętym sercem zwróciła Benowi słuchawki.

Pod wpływem morfiny Marge opuścił strach, ale nadal każdym oddechem walczyła o tlen dla płuca.

– Jestem prawie pewny, że to zator – oświadczył Ben. – Nie obejdzie się bez szpitala, bo tylko tam można zrobić angiogram płuc, to

takie prześwietlenie, żeby dowiedzieć się, gdzie dokładnie jest ten zator, a potem dostaniesz heparynę na rozrzedzenie krwi.

– Trzeci raz... – wyszeptała Marge.

– Ona już miała dwa zawały – wyjaśniła Sally. – Za każdym razem... To szczęście, że ciągle jest z nami.

Jess westchnęła. Dwa poważne zawały, a teraz to.

Dlaczego Marge zamieszkała na takim odludziu? Z takim zdrowiem powinna mieszkać o krok od szpitala.

To jej życie. Żyje tak, jak lubi.

Sally zaczęła się krzątać po pokoju, pakując rzeczy przyjaciółki. Byłoby lepiej, gdyby się tak nie kręciła, pomyślała Jess, bo Marge potrzebuje spokoju. Czowała, że powinna pójść do Dusty'ego, opowiedzieć, co się dzieje, ale w ostatniej chwili Marge chwyciła ją za rękę.

– Proszę... nie wychodź.

– Nie potrzebujesz aż dwóch lekarzy – zażartowała Jess. – Masz doktora Oaklandera.

– Nawet gdyby tu było pięćdziesięciu lekarzy, chciałabym, żeby wszyscy byli przy mnie. – Marge zaczerpnęła powietrza. – Jesteście położnikami.

– Więc nic tu po nas. – Jess się uśmiechnęła. – Chyba że to bóle porodowe i zaraz na świat przyjdzie dziecko.

– Nie, nie będzie dziecka. – Marge oddychała z coraz większym wysiłkiem. – Urodziłam troje. Wszyscy są dorośli. A... a ty? Ile masz dzieci?

– Tylko Dusty'ego.

– Bardzo miły dzieciak.

– Tak, bardzo. – Jess zerknęła na Bena. Trzymał nadgarstek Marge.

Złe wiadomości?

– A ty? – Marge zwróciła się do niego.

– Nie mam dzieci.

– To błąd. – Chora uśmiechnęła się trudem. – Może moglibyście połączyć siły? Dusty jest bardziej podobny do ciebie niż do Jess... – Nagle umilkła i zbladła. – Och... – Przyłożyła dłoń do piersi, po czym bezwładnie opuściła ją na pościel, jakby opadła z sił.

– Marge!. – Sally upuściła spakowaną walizeczkę i podbiegła do łóżka.

– Zimno mi... – wyszeptała Marge.

Mimo że byli położnikami, wiedzieli, co robić, więc błyskawicznie przystąpili do reanimacji. Z wyjątkiem defibrylatora mieli wszystko, co potrzeba. Czasami wszystko to za mało. Jess przypominała sobie, jak bardzo przeżyła pierwszą reanimację, która się nie powiodła.

– W przypadku całkowitego zatoru nic więcej nie można zrobić – pouczył ją lekarz. – Nie miej do siebie pretensji. Jesteśmy tylko lekarzami.

Tym razem też nie było cudu.

Przyleciał śmigłowiec, a wraz z nim ratownicy. Kontynuowali reanimację wspomagani profesjonalnym sprzętem, ale i oni nie dokonali cudu.

– Miała siedemdziesiąt osiem lat – wyszeptała Sally w odpowiedzi na jedno z pytań ratownika. Jess tymczasem wspominała Marge na promie, jak w blasku słońca karmiła maleńkiego wombata.

Wszyscy pograżyli się w smutku. Ale daj Boże, pomyślała Jess, by nas tak żałowano jak Marge. I daj nam umrzeć tak jak ona. Dianne i Sally padły sobie w ramiona. W przedśionku stał rozdygotany Dusty, więc Jess wyszła, by go przytulić. Obejmując go, przez ramię zerknęła do pokoju, a

tam Ben tulił Sally i Dianne.

Oaklander kogoś pociesza?

Ratownicy we wszystkim ich wyręczyli, więc Jess i Ben wzięli za rękę pobladłego Dusty'ego i odeszli.

– Dlaczego jej nie pomogliście? – zapytał Dusty.

Do hotelu wracali piechotą, bo Sally nie była w stanie prowadzić. Poruszeni do głębi długo milczeli. Czy można się z tym oswoić? Na pewno nie po dziesięciu latach pracy w tym zawodzie, pomyślała Jess. Może nawet nigdy.

– Robiliśmy, co w naszej mocy – odrzekła. – Mieliśmy szczęście, że różne rzeczy były pod ręką. Ben uśmierzył jej ból, pomógł jej oddychać, ale czasami to za mało. Marge miała skrzep, który spowodował, że jej serce przestało bić. To smutne, ale tak bywa.

– Jak babcia – wykrztusił Dusty, tłumiąc płacz. Jego ukochana babcia umarła niedawno, a on za nią bardzo tęsknił. – Ty też możesz umrzeć – ciągnął Dusty, kurczowo ściskając jej dłoń.

Poważna sprawa. Tego chyba najbardziej boi się inteligentny jednak samotnej matki.

– Ja jestem młoda – powiedziała, chociaż wcale nie czuła się młodo. Przystanąła, by go przytulić. – Dusty, ja nigdzie się nie wybieram.

– Mój tata umarł.

– Ja nie ryzykuję.

– Ale... coś się może stać – wybuchnął Dusty. – Jak dzisiaj rano, wypadek. Coś... A potem już nic. Nic a nic. – Był bliski hysterii. – I będzie tylko doktor Oaklander, a on nawet nie wie, kim jesteśmy.

– Dusty...

– Ty nie chcesz mu powiedzieć, a ja nawet nie wiem, czy on mnie

lubi. Boję się... Nie chcę, żeby ludzie umierali, i chcę do domu. – Rozpłakał się na dobre.

Usiadła na piasku i otoczyła synka ramionami. Kiedy umarła jej matka, Dusty prawie nie płakał, więc teraz musiał to nadrobić. Tuliła go, po prostu tuliła.

Ben przykucnął obok nich. Milczał i cierpliwie czekał. Wyczuł, że Dusty musi się wypłakać, że fale rozpaczy muszą wygasnąć. Gdy już się to stało i Dusty leżał wyczerpany w ramionach Jess, gdy Jess pomyślała, że powinna wstać i zaprowadzić go do hotelu, Ben delikatnie dotknął jego ręki. Ledwie ją musnął, w każdej chwili gotowy się wycofać.

– Dusty...

Chłopiec odetchnął głębiej i otworzył oczy.

– Dusty, twoja babcia i Marge były stare – mówił cicho. – Dzieci Marge są starsze od twojej mamy i mają własne dzieci. Myślę, że z tobą i twoją mamą będzie podobnie. Dorośniesz, a jak będziesz w moim wieku albo starszy, to pewnie się ożenisz i będziesz miał dzieci, które kiedyś będą nastolatkami. Zacznieś łyścieć i grać w golfa, a po obiedzie będziesz ucinał sobie drzemkę. – Zerknął na Jess. – Twoja mama będzie miała siwe włosy i zostanie babcią. I nie będzie się mogła nadziwić, że jej syn łyścieje. Ale pewnego dnia, za wiele, wiele lat, kiedy sam już będziesz stary i taki łyсы, że będziesz mógł polerować sobie głowę emulsją do mebli, przyjdzie taki czas, że twoja mama umrze. Ale teraz twoja mama wygląda bardzo zdrowo. I podejrzewam, że jeszcze długo będzie ci mówiła, co ci wolno, a czego nie wolno.

To odwróciło uwagę chłopca. Łysy? Przestał myśleć o śmierci. Na chwilę. Stary i łyсы? Bezwiednie dotknął swoich włosów. Ben się uśmiechnął.

Jednak Dusty musiał poradzić sobie nie tylko ze śmiercią babci i Marge.

– Ale mój tata... – chlipnął.

– Umarł młodo – dokończył za niego Ben. – Wypadki się zdarzają. Nieczęsto, jeśli jesteśmy rozważni. – Zawahał się. – Mam rację, podejrzewając, że twój tata za szybko jechał skuterem wodnym i się rozbił? Czy dobrze się domyślam, że twój ojciec był moim bratem?

Dusty wytrzeszczył oczy. Jess nie mogła wydobyć z siebie słowa, musiała jednak zareagować.

– Tak. Przepraszam, powinniśmy byli ci powiedzieć. Tak, Dusty jest synem Nate'a.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Że Ben osłupiał, to mało powiedziane. Wstrząśnięty jej słowami, aż ukląkł na rozgrzanym piasku.

Syn Nate'a. Jego bratanek. To Nate na niego patrzy. Ośmioletni Nate, jego brat.

– To ma być żart?! – wyrwało mu się.

– To nie jest żart! Żałuję, że nie jest.

– Nie chcieliśmy się ujawniać, dopóki się nie upewnimy, że ty to ty – wyjaśnił Dusty. – Mama powiedziała, że będziesz niezadowolony. – Wykrzywił wargi w płaczkowym grymasie. – Mama uważała, że będziesz się gniewał i się gniewasz.

– Nic nie rozumiem.

– Dusty chciał cię zobaczyć – wyjaśniła Jess. – Z internetu dowiedzieliśmy się, że będziesz na tej konferencji. Jej temat wydał mi się interesujący, więc uznaliśmy, że skorzystamy z okazji.

– Żeby mnie obejrzeć?

– Tak.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?! – Był wściekły.

– Bo baliśmy się, że będziesz jak dziadek – wyszeptał Dusty z twarzą wtuloną w ramię Jess. – Mama ma rację. Jesteś zły, a ja nie wiem dlaczego. – Znowu się rozplakał.

Od śmierci jej matki życie Dusty'ego nie rozpieszczało, pomyślała, kołysząc go. Najpierw żałoba, potem przeprowadzka, opiekunki, nowa szkoła. Znosił to ze stoickim spokojem. Ale teraz czara goryczy się przelała, a ona mogła jedynie go tulić. W tej chwili nie interesowała jej

reakcja klęczącego obok mężczyzny.

Należało mu się wyjaśnienie, ale teraz najważniejszy był Dusty. Teraz wujek nie był mu potrzebny.

– Przykro mi, że dowiedziałeś się w taki sposób. Nic od ciebie nie chcemy, ale teraz chcielibyśmy być sami.

Patrzył na nią jak na kosmitkę. Kochanka jego brata.

– Idź już – poprosiła. – Dusty potrzebuje tylko mnie.

– Mogę pomóc.

– Pomożesz, odchodząc.

Powinni z nasłonecznionej ścieżki zejść w cień. Zaraz namówi Dusty'ego, by wstał. Za minutkę. Jak Ben sobie pójdzie. Wyczuł to. Zauważyła, że się waha, zastanawia, czy nie wziąć Dusty'ego na ręce i przenieść w cień. Pomóc wbrew jej woli.

– Proszę, idź już... – powtórzyła.

– Wrócę.

– Nie trzeba. – Przytuliła mocniej szlochające dziecko. – Nie mamy zamiaru ci się narzucać. Dusty już cię zobaczył. Tylko tego chciał.

Szumiało mu w głowie. Najpierw szedł spokojnie w stronę hotelu, ale w pewnej chwili puścił się biegiem. Jest upał, a oni siedzą w słońcu. Mimo że Dusty chce być sam z mamą, on musi coś zrobić.

Dziecko jego brata. To znaczy, że Jess i Nate...

Nie. Zrobiło mu się niedobrze. Dlaczego? Nate miał setki dziewczyn. Mieszanka pieniędzy, urody i kosmicznej zarozumiałości działała jak silny afrodyzjak. Ale trwalsze związki... Nate zostawił ją z dzieckiem?

Jego rodzina przestała istnieć wraz ze śmiercią ojca.

Ma bratanka. Biegnąc, liczył. Dusty ma mniej więcej dziesięć lat, co

oznacza, że Nate był wtedy na studiach. „Studiował” całymi latami, z przerwami i na różnych kierunkach, aż w końcu uznał, że go to nie bawi.

To wtedy poznał Jess. Ona studiowała medycynę, a Nate robił to, w czym był najlepszy, czyli nic. Nate nie żyje z powodu głupiego wypadku po pijaku. Zostawił dziecko, Dusty’ego. Co za imię! Idealne dla dziesięciolatka po przejściach. Dla małego stoika. Inteligentnego, z poczuciem humoru, dzielnego. Jak Jess.

Biegł, zaciskając pięści, owładnięty dawno zapomnianą złością. Na Nate’a, który głupio pobłażliwego ojca owinał sobie wokół leniwego palca, na Nate’a, który go nienawidził. A teraz to: jego syn.

Opiekował się nimi? Wśród zabagnionych spraw, jakie pozostały po ojcu, nie było wzmianki o wnuku. Czy Nate w ogóle o tym ojca poinformował?

Nic mnie nie obchodzą porażki Nate’a! – pomyślał ze złością. Ale to nie jest porażka. Nie mógł się uwolnić od obrazu Jess, która siedzi na ścieżce i tuli płaczące dziecko. To Jess i Dusty.

Pierwszą osobą, na którą się natknął, był recepcjonista.

– Już wiemy – oznajmił, nim Ben otworzył usta. – To okropne, ale można się było tego spodziewać... Trzy starsze kobiety... Jak mogę panu pomóc?

– Czy można kogoś wysłać po doktor McPherson i jej synka? Są w połowie drogi. Trzeba ich tu przywieźć.

– Oczywiście. Zaraz tam wyślę Douga. Pojedzie pan?

– Hm, nie. – Pamiętał, o co prosiła Jess. – Chłopiec jest bardzo nieszczęśliwy, ale moja obecność mu nie pomoże.

Gdy znaleźli się w swoim bungalowie, Dusty znowu się rozplakał, ale w końcu zasnął. Przespał większą część popołudnia, Jess tymczasem

rozmyślała o Marge i o swojej matce, o tym, że smutek nie wybiera. Jak pomóc Dusty'emu? Czuła się bezradna.

Takiego smutku się nie zapomina, skonstatowała, ale z czasem zostaje tylko blizna i Dusty przekonuje się o tym na własnej skórze. Kiedy się obudził, zadzwoniła do recepcji, by zamówić kanapki.

Zjawił się Ben, a za nim kelner. Ben miał przewieszoną przez ramię torbę z laptopem, a na rękach... Pokey?

Suczka przytulała się do niego, jakby w jego ramionach chciała znaleźć schronienie. Podobnie jak wszyscy sprawiała wrażenie nieszczęśliwej.

– Możemy wejść? – zapytał Ben półgłosem.

Zaskoczona zaprosiła ich do środka. Co miała robić?

Kelner postawił tacę, uśmiechnął się do Bena, uśmiechnął do Pokey, po czym wyszedł.

Hm... pies w jej pokoju. W ośrodku na każdym kroku widniały tablice z zakazem wprowadzania zwierząt. Pokey to nie dotyczy? Dusty niczym kupka nieszczęścia leżał w pościeli. Jess czuła, że nie śpi, ale się nie odzywał.

– Czy możemy wam towarzyszyć? – zapytał Ben.

A gdyby tak się nie zgodziła? Nie mogła. To jest wuj Dusty'ego, więc wypada zdobyć się na uprzejmość, Wprawdzie to Oaklander, ale nie zrobił nic złego, mimo że jego obecność napawała ją niepokojem.

– Powiedziałaś, że niczego ode mnie nie chcecie - mówił łagodnym tonem. – Ja od was też niczego nie oczekuję. Jak chcesz, żebyśmy z Pokey wyszli, to wyjdziemy. Ale chciałbym z tobą porozmawiać.

Przez chwilę przyglądała mu się bezradnie, po czym zaprosiła do stołu. Gdy usiadł, Pokey zaskomlała, więc podrapał ją za uchem, a ona

ułożyła mu się na kolanach.

– Dlaczego masz Pokey?

– Wróciłem do ośrodka. Wszyscy są tak przygnębieni, że nie wiedzą, co robią. Obecność psa wkrótce wyszłaby na jaw. Uznaliśmy, że będzie lepiej, jak Pokey przez kilka dni pomieszka tutaj.

– Wolno jej?

– Potrafię być przekonujący. – Uśmiechnął się, a ona pomyślała, że to nie jest uśmiech Nate'a. Nate nie potrafił uśmiechać się tak łagodnie. – Jestem głównym prelegentem na sympozjum. Wyjaśniłem, że Pokey jest moim rekwizytem.

– Jak to?

Uśmiechnął się szerzej, prowokując jej uśmiech.

– Mój referat jest poświęcony ciężarnym w trudno dostępnych regionach. Nie mogę do pokazu zaprosić ciężarnej kobiety, więc posłużę się ciężarną suką. Stawiłem się w recepcji i oznajmiłem, że zgodnie z umową Pokey przypląnęła dzisiejszym promem. Zażądałem karmy dla psów, jakby to było oczywiste, a gdy próbowali protestować, pouczyłem ich, że był to warunek mojej tu obecności. Nie uprzedzono ich o tym? – Wzruszył ramionami. – Nadałem się, jakby mój udział zależał od obecności Pokey w sali konferencyjnej. Stanęli w obliczu utraty głównego prelegenta. Zdębieli, no i się zgodzili. Myślę, że po konferencji uda się zwrócić ją Sally i Dianne, a one po cichu przekażą ją córce Marge.

Mówił to z miną dziecka, któremu udało się niepostrzeżenie zwędzić cukierek. Triumfujący łobuziak. Niemal rozkoszny.

– Będziesz się nią opiekował? – wykrztusiła.

– Będę zajęty. Muszę jakoś włączyć ją do prezentacji, jakoś to uzasadnić. Resztę czasu spędzi w moim pokoju, ale pomyślałem... –

Zajrzał do pokoju Dusty'ego, po czym z poważną miną przemówił do małego noska wystającego z pościeli. – Dusty, pomyślałem, że mogłaby być z tobą, jak ja będę zajęty. Co ty na to?

– Ja? – zapytał Dusty drżącym głosem.

– Nie mam nikogo innego – przyznał Ben. – Ona się boi, czuje się samotna i niedługo będzie miała małe. Trzeba ją wyprowadzać na spokojne spacerki i często przytulać. – Zawahał się jak człowiek, który ma się przyznać do porażki. – Ja nie umiem przytulać.

Tym razem ujrzeli całą twarz chłopca. Pogodną.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego nie umiesz przytulać? Twoja mama...

– Dusty! – Jess rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Dusty jest inteligentnym dzieckiem. Korzysta z okazji, żeby go wybadać?

– Moja mama też nie umiała przytulać – odparł Ben. – Osiem lat temu umarła na zatorowość płucną, niedługo przed tym, jak zabił się twój tata. Nazywała się Fiona Smythe – Harris. To twoja druga babcia.

Ot, tak po prostu, Ben potwierdził, że jest spokrewniony z Dustym. Jess wstrzymała oddech.

– Jak Marge – szepnął Dusty.

– Wcale nie była podobna do Marge. Nosiła suknie z jedwabiu, eleganckie żakiety, buty na wysokich obcasach, i nie lubiła psów.

– Nie miałeś psa?

– Nie miałem i dlatego potrzebna mi twoja pomoc.

To poskutkowało, bo Dusty wyskoczył z łóżka.

– Jesteś zły, że jesteś moim wujkiem?

– Nie. Jestem zły, że nic o tobie nie wiedziałem, a to nie to samo.

– Ale byłeś zły na mamę. – Dusty ostrożnie podchodził do Pokey, ale nie jak dziecko, które boi się psa, a jak dziecko, które się boi, że coś pięknego zostanie mu odebrane.

– Nie jestem zły na mamę. – Nagle jego głos znowu stał się szorstki.
– Mam za złe twojemu tacie, że mi o tobie nie powiedział. Jestem zły na te wszystkie lata, kiedy o tym nie wiedziałem. O bratanku, któremu na imię Dusty.

– Tak naprawdę to mam na imię Dustin. – Usiadł obok Bena, by pogłodzić Pokey. – Po tym drugim dziadku, tym sympatycznym. On bardzo lubił zwierzęta. Mam jego kolejkę. Jest super.

Benowi zaświeciły się oczy.

– Jak byłem w twoim wieku, też miałem kolejkę. Chcesz ją zobaczyć?

– Jak?

– W komputerze. – Ben podał mu Pokey.

Dusty często nosił na rękach kota babci, więc trzymał suczkę delikatnie, ale pewnie. Pokey sapnęła jeszcze raz, po czym się do niego przytuliła, co pozwoliło Dusty’emu docenić laptop Bena.

– Uau! Dziesięć razy lepszy od laptopa mamy.

– Już mam zdjęcia. – Ben przez stół uśmiechnął się do Jess. – Moja sekretarka w Londynie przywykła do dziwnych poleceń. Czekałem do świtu, żeby ją obudzić i poprosić o przysłanie ich pocztą elektroniczną, bo pomyślałem, że ci się spodobają.

Fotografie. Fotografie rodzinne.

Musiał je zeskanować dużo wcześniej, bo obejmowały całe stulecie.

– Tak wyglądał nasz pierwszy dom. – Oczom Jess ukazała się budowla, która siedem lat wstecz budziła w niej potworny strach. –

Postawił go twój pradziadek. Trochę pretensjonalny z tymi wszystkimi kolumnami.

– Łaa! – Dusty nie krył podziwu. – Twoja rodzina była bogata?

– Tak, była bogata. Dustin, to jest też twoja rodzina.

Te słowa otworzyły Dusty’emu furtkę do świata jego ojca. Oraz do nazwiska.

Jej syn po części jest Oaklanderem. Przez dziesięć lat myślała o tym nazwisku z przykrością, ale teraz...

– Nadal jest twój? – wykrztusiła.

– Tak – przyznał z wyraźną niechęcią.

– Mieszkasz tam? – dopytywał się Dusty.

– Nie.

– Dlaczego?

– Tam jest dwadzieścia pokoi. Nie mogłbym się zdecydować, który wybrać. Wydzierzałem go pewnej organizacji pozarządowej. A to jest ślubne zdjęcie twojego dziadka i babci. Masz nos po dziadku.

– Możesz powiększyć? – Dusty z upodobaniem wpatrywał się w fotografię.

Jedząc, obejrzeni jeszcze mnóstwo innych portretów, porównując nosy. Ben zamówił górę kanapek, a do tego ekierki z czekoladą, truskawki, winogrona oraz wysokie szklanki z lodami polanymi zielonym syropem.

– Dusty, popatrz – powiedział, polewając lody lemoniadą. W szklance wybuchły zielonkawe wulkany, które należało szybko wypić, by się nie przelały.

Dusty od śniadania nic nie jadł. Zawsze był chudy, a po śmierci babci schudł jeszcze bardziej. Do jedzenia trzeba było go namawiać. Tym

razem nie potrzebował zachęty, bo dokonał tego Ben, pokazując mu zdjęcia swoich rodziców, ich domu, dalszych przodków... oraz Nate'a.

Jego „zwyczajne” zdjęcia skończyły się, gdy Nate miał około ośmiu lat, po nich były już tylko zdjęcia oficjalne, wycinki z gazet i portrety. Ostatnie, z kolorowego magazynu, zrobiono na jakimś balu. Na pierwszym planie Nate obejmował śliczną roześmianą dziewczynę, na drugim jeszcze więcej roześmianych dziewczyn.

– Ale on wybrał moją mamę – zauważył z dumą Dusty. – Mama jest ładniejsza.

– To prawda – przyznał Ben.

Wcale nie jest ładna. Twarz, którą widzi w lustrze, nie jest tą samą twarzą, która tak spodobała się Nate'owi. Za dużo nieprzespanych nocy na dyżurach, ręce zniszczone szorowaniem przed zabiegami, nauka po nocach, zmartwienia... Ale nawet i bez tego co on w niej widział?

Jak mogłam być taka głupia? – po raz kolejny przebiegło jej przez myśl. Gdyby nie była taka głupia, nie miałaby Dusty'ego. To ją otrzeźwiło. Jak zwykle.

Ben wpatrywał się w zdjęcie, na którym Nate w dalszym ciągu się śmiał. Jess zauważyła ledwie dostrzegalny grymas cierpienia na wargach Bena. Nate go skrzywdził? Ale Ben umiał się maskować.

– Mam prośbę...

– Jaką?

– Przyjechałem na konferencję, ale mam psa... Dusty, zaopiekujesz się Pokey, jak mama i ja będziemy na obradach? Zrobisz to dla nas?

Dusty powiódł wzrokiem od niego do suki, a następnie do matki. Nie ma lepszego prezentu, pomyślała Jess.

– Ale sam sobie nie poradzę, jak Pokey zacznie rodzić – zaniepokoił

się Dusty, ale chyba nie miał nic przeciwko temu, żeby spróbować.

– O to cię nie prosimy – zapewnił go Ben. – Mama zamówiła dla ciebie opiekunkę. Przełączymy nasze komórki na wibrowanie i gdyby Pokey zaczęła rodzić, urwiemy się z wykładu i błyskawicznie tu się stawimy.

Dusty się roześmiał. Nie ma nic piękniejszego niż śmiech dziecka, rozczuliła się Jess. Ben się uśmiechnął, po czym odwrócił na plecy Pokey leżącą na jego kolanach, ukazując jej naprawdę wielki brzuch.

– Jak myślisz, ile ich tam jest? – zapytał chłopca.

– Jeden duży? Wielgachny?

– Przydałoby się USG – zażartowała Jess.

– To jest do załatwienia – odparł Ben.

– Chcesz ją wieźć na stały ląd?

– Mam lepszy pomysł. Konferencji towarzyszy ekspozycja specjalistycznego sprzętu, bo firmy chcą wypromować swoje nowości. Zauważyłem producenta przenośnych skanerów, a jego przedstawicielka mnie zapewniała, że w wersji przenośnej udało się im osiągnąć jakość odczytu zbliżoną do skanerów stacjonarnych. Gdybyśmy teraz tam poszli... – Zerknął na nią. – Profesor Oaklander, główny prelegent, oraz doktor McPherson, kierownik oddziału położniczego London Central...

– Nie jestem kierownikiem.

– Jak zdejmiesz klapki – zauważył z uśmiechem – będziesz wyglądała jak kierownik.

– Skąd wiesz, że pracuję w London Central?

– Mam swoje kanały.

Dusty siedział markotny.

– Chcecie zrobić Pokey operację?

– Nie, chcemy tego uniknąć. I pomoże nam w tym USG. To takie prześwietlenie, żeby zobaczyć, co jest w środku. Obejrzymy szczeniaki, zmierzmy im głowy, sprawdzimy, czy są ułożone prawidłowo. Jeśli tak, to się zrelaksujemy i będziemy czekać, aż szczeniaki same wyjdą. Spróbujemy?

– Teraz? – przestraszyła się Jess.

– Czemu nie? Dusty, idziemy?

– Tak. – Dusty obdarzył swojego fantastycznego wujka nieśmiałym uśmiechem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Weszli do centrum konferencyjnego.

Dusty niósł Pokey na rękach. Wcześniej Ben zaproponował, by szła sama, ale Dusty chciał ją nosić, a jej się to podobało.

– Naprawdę myślisz, że udostępnią nam swój najnowszy aparat, żebyśmy mogli sobie pooglądać Pokey? – zaniepokoiła się Jess.

– Milcz i patrz.

Kobieta odpowiedzialna za skaner była po pięćdziesiątce, chłodna i sztywna. Przypominała Jess jej opiekunkę na pierwszej szpitalnej praktyce. Już z daleka lustrowała zbliżającą się czwórkę. Jess nerwowo poprawiła spódnicę i bluzkę, by wyglądać profesjonalnie, ale nie miała wpływu na zaczerwienione od płaczu oczy Dusty’ego ani na pokraczną Pokey.

– Psy nie mają tutaj wstępu – zaczęła kobieta, ale Ben już ścisnął jej rękę.

– Profesor Oaklander – przedstawił się. – A to jest doktor McPherson ze Zjednoczonego Królestwa. Domyślam się, że mam do czynienia z panią Elizabeth Morey... Słyszałem same pochwały na temat pani zespołu i waszego produktu. Mam zamiar o nim wspomnieć w wykładzie, bo idealnie pasuje do tematu leczenia w regionach trudno dostępnych. Pomyślałem jednak, że warto zawczasu przeprowadzić badanie próbne. – Ani się zająknął. – Poprosiłem tego chłopca, żeby wypożyczył nam swojego psa. Pokey ma pozwolenie dyrekcji na przebywanie na wyspie. Jej ciąża dobiega końca. Jeśli wasz sprzęt dokładnie pokaże nam jej szczeniaki, będzie to znaczyło, że tym bardziej

ujawni wady płodu ludzkiego. Zgodzi się pani ze mną?

– USG... psa?

– Przyjadą położnicy z całego świata – przypomniał jej Ben. – Wielu z nich pracuje z kobietami w trudno dostępnych regionach albo uczy tych, którzy mają tam pracować. To mój priorytetowy projekt: poprawa opieki medycznej na miejscu, tak aby ciężarne bez potrzeby nie musiały jeździć do miasta. Zdaję sobie sprawę, że nie możecie zaprezentować skanu człowieka, bo dopuszcza się jedynie nagranie wideo, ale mam pewien pomysł. – Uśmiechnął się czarująco. – Proponuję zarejestrować oraz pokazać skan Pokey i omówić go na jej przykładzie. Jeśli okaże się posłuszna, to być może drugie USG zrobimy jej przed całym audytorium. Wszyscy zobaczą, jaka jest mała, jak małe są szczeniaki i co potrafi wasz sprzęt. Liczę, że dzięki temu łatwiej mi będzie przekonać kolegów lekarzy do tego urządzenia, a wam to uprości zabiegi marketingowe.

Pani Morey wpadła w zachwyt, a Jess ledwie się powstrzymała, by nie wybuchnąć śmiechem. Dusty za to wpatrywał się w niego jak w obraz. Z zachwytem? Ten nowo poznany wujek jest... wspaniały? Niezły, ale nie wspaniały. Nie wolno zapominać, że to Oaklander.

Pani Morey pokrótce przedstawiła swojemu zespołowi propozycję Bena. Trójka techników chętnych zaprezentować swoją nową zabawkę zgłosiła się błyskawicznie. Pokey idealnie dostosowała się do sytuacji. Gdy z leżanki uprzątnięto atrapę kobiety, Dusty na jej miejscu ułożył suczkę. Wystarczyła niewielka zachęta, by sama przewróciła się na plecy, a następnie grzecznie wyciągnęła wszystkie łapy, przyjmując pozycję „zdechł pies” i ukazując gruby brzuch.

Technicy wpadli w zachwyt. Nawet na twarzy zasadniczej pani

Morey zamajaczył cień uśmiechu. Chwilę później na ekranie zaczęły się pojawiać obrazy.

– Możecie mi wyjaśnić, co to jest? – zapytał Ben. – Znam się na ludziach, ale nie na szczeniakach...

Technicy byli wniebowzięci: oto lekarz przyznał, że wie mniej od nich.

– Na przykład obwód głowy... – zasugerował Ben.

– Wszystkich?! – wyrwało się najmłodszemu technikowi, za co pani Morey spiorunowała go wzrokiem.

– Oczywiście – powiedziała. – Możemy to zrobić, prawda, Tony?

– Tak myślę. – Najstarszy z techników z zapalem podjął wyzwanie.

– Ale najpierw policzmy głowy.

– Cztery – orzekł Ben, wpatrując się w niewyraźny obraz. – Obawialiśmy się ośmioraczków. Mógłby być wtedy problem z wielkością głów.

– Przy ośmiu byłyby nieźle zaplątane – przyznał Tony. – Ale do policzenia. Skupmy się na tym najbliższym wyjścia. – Uśmiechnął się. – Chcecie poznać płęć?

– Czemu nie? – odparł Ben ku radości wszystkich zebranych, łącznie z panią Morey.

– To byłoby coś, gdyby się nam udało – mruknęła, a Jess dostrzegła w jej oczach rosnące słupki sprzedaży.

Dwadzieścia minut później wiedzieli, co dzieje się w brzuchu Pokey, która okazała się uosobieniem cierpliwości. Dusty gładził ją i do niej przemawiał, podczas gdy technicy spierali się, która łapa należy do którego szczeniaka, jak najlepiej zmierzyć obwód głowy, jak ustalić płęć.

– Stawiam na trzech chłopców i jedną dziewczynkę – oznajmił

Tony. – Przy takiej miednicy żadna głowa nie będzie stwarzać problemów. Ten pierwszy ma idealne ułożenie. Jestem zdania, że położnik Pokey może spać spokojnie, a tatuś już może pędzić po cygara.

Ogólna radość, powszechne zadowolenie.

– Cztery szczeniaczki – odezwał się zachwycony Dusty. – Weźmiemy jednego?

Aha, powinna była się na to przygotować...

– Nie mów hop... – powiedział Ben, przejmując mopsa od Dusty'ego. – Jak je zobaczysz, może się okazać, że są różowe.

– Różowe?!

– Z noworodkami nigdy nic nie wiadomo. Znamy tatusia? Był różowy?

– Ja... nie...

– Więc lepiej poczekać, aż się urodzą – doradził Dusty'emu Ben. – Słuchaj, podobno masz łopatę.

– Mam – odrzekł zaskoczony Dusty.

– To ja też chcę łopatę. To, że tobie ją dali, a mnie nie, jest dyskryminowaniem dorosłych. Zaraz się poskarżę kierownikowi. A jak już ją dostanę, to proponuję, żebyśmy ruszyli na plażę.

– Na plażę? – Dusty nie nadążał.

– Na plażę – potwierdził Ben. – Poszedłem obejrzeć twój zamek, ale z przykrością muszę cię poinformować, że fosa nie uchroniła fundamentów. Podejrzewam, że woda wdarła się do piwnic. Wy idźcie się przebrać, a ja pójdę do kierownika po łopatę. Przy okazji poproszę o koc, kosz piknikowy i materacyk dla Pokey. – Zerknął na Dusty'ego. – Mój plan jest taki: najpierw remont zamku, potem trochę popływamy, kolacja, a po kolacji do łóżka. Przed nami ważny dzień. Ja mam wykład, ty

pilnujesz Pokey, a twoja mama ma wysłuchać mojego wykładu. To najtrudniejsze. Jakie są wasze plany?

Jess, podobnie jak jej syn, nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Stąpaj trzeźwo po ziemi, upomniała sama siebie, ten facet to Oaklander! Nie, to jest Ben. Chwilowo fantastyczny facet, który potrafi uszczęśliwić Dusty'ego. Nie daj się uwieść jego uśmiechowi, ale możesz się zrelaksować, a nawet zaakceptować jego plan.

Może nawet odwzajemnić uśmiech.

Leżała na piasku, obok niej zwinięta w kłębek gruba suczka, i obserwowała, jak jej syn bawi się z wujkiem.

Takie to proste? Już dawno temu powinna była skontaktować się z tym człowiekiem. On by zaakceptował to pokrewieństwo, pomyślała. To chyba dobry człowiek.

Pogłaskała Pokey. Przygarnięcie jej to akt bezinteresownej dobroci. Na pewno było to dla niego bardzo trudne. Zwłaszcza że wymagało wymyślenia nieprawdopodobnej historyjki, a być może musiał też strugać wariata: „Psy nie mają tu wstępu? Skąd miałem wiedzieć! ”. Nikomu o mniej istotnym znaczeniu dla całej imprezy by się to nie udało.

Co więcej, załatwił USG dla Pokey.

– On jest niesamowity – zwróciła się do suczki, która od razu przewróciła się na grzbiet i wyprostowała wszystkie łapy, domagając się głaskania.

– Ciesz się ciążą, bo tyle twojego – przemówiła Jess surowym tonem. – Potem to już tylko ciężka praca.

Pokey popatrzyła na nią niepewnie.

– Ale się nie martw, bo masz jednego z najlepszych położników na kuli ziemskiej. – Jeszcze raz podrapała ją po brzuchu, po czym przeniosła

spojrzenie na morze.

Stojąc po pachy w wodzie, Ben wziął Dusty'ego na barana i trzymając go za ręce, uczył nurkowania. W tej samej chwili, plując i się zaśmiewając, Dusty zniknął pod wodą, mimo że zawsze bardzo się tego bał. Ale Ben go pochwycił i z powrotem posadził sobie na ramionach.

Jak ojciec i syn. Niezupełnie.

To bratanek i wujek. Ale to więcej, niż oczekiwala.

Ale to także... trochę przerażające. Dlatego leży na piasku i ich obserwuje. Bawiła się z nimi, śmiała, chlapała ich wodą, była ochlapywana, aż nagle straciła ochotę na zabawę. Przestraszyła się.

Ben ją przejrzał? Powiedziała im, że jest jej zimno, ale to nieprawda. Gdy ich spojrzenia się spotkały, w jego oczach wyczytała jasny komunikat. Ta dobroć jest przeznaczona dla Dusty'ego. Nic poza tym.

Teraz wybiegli z wody, wymachując ramionami. Nie do niej, do kogoś za nią. Odwróciła się. Od strony hotelu szła ku nim Kathy, niosąc kosz. Kolacja.

Kolacja, a potem do łóżka. Jutro Ben zniknie w gronie profesorów i znowu znajdą się w dwóch odrębnych światach. I to będzie koniec.

Miała nadzieję, że Ben i Dusty pozostaną w kontakcie. Email to wspaniały wynalazek. Może nawet będą się widywać via Skype. Wujek na drugim końcu świata to dla Dusty'ego wielki dar.

Może to i dobrze, że ten wujek będzie na drugim końcu świata, pomyślała, gdy trzymając się za ręce, zbliżali się ku niej. Ben miał na sobie tylko bokserki.

Czy Nate też był tak pięknie zbudowany? Nie mogła sobie przypomnieć. Gdyby tak było, na pewno by pamiętała. Czuła, że się czerwieni.

– Super! – cieszył się Dusty, jakby nie jadł od kilku dni. – Jestem głodny jak wilk.

– Zjadłeś późny lunch.

– Ale to było dawno. Cześć, Kathy. – Dusty widział ją już dwa razy, więc nieco się oswoił. – Jesteś w ciąży?

Ach, te dzieci... Będzie musiała z nim o tym porozmawiać. Gdyby Kathy była otyła...

Dziewczyna miała na sobie hotelowy uniform przerobiony na ciążową sukienkę i biały fartuszek. Zawiązany bardzo wysoko, zauważyła Jess.

– Jakbyś zgadł! – odparła z uśmiechem Kathy, pochylając się, by postawić kosz na ziemi, ale nie zdążyła, bo Ben wyjął go jej z ręki.

Znowu się uśmiechnął, co nie uszło uwadze Kathy. Nic dziwnego, że jest ulubieńcem pacjentek, bo kto by się bał, widząc taki uśmiech?

– Nie powinnaś roznosić koszy piknikowych – stwierdził.

– Dlaczego? Nic mi nie jest.

Mimo to nie wyglądała dobrze. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Taki kosz jest dla niej zdecydowanie za ciężki, pomyślała Jess, automatycznie przestawiając się na tryb zawodowy, na potrzeby organizmu kobiety ciężarnej.

Kathy miała dziewiętnaście, dwadzieścia lat, niewiele więcej niż Jess, gdy zaszła w ciążę.

– Jak się panu udało przekonać szefostwo, żeby wpuścili tu psa? – Kathy nie kryła uznania.

– Potrafię być przekonujący – odparł Ben. – Ale wróćmy do tego kosza. Czy w twoim podręczniku dla ciężarnych nie było nic o tym, że tuż przed rozwiązaniem nie wolno nosić ciężarów? Sama pomyśl... to jest

prawdziwe odludzie. Co ty tu w ogóle robisz?

Dziewczyna przestała się uśmiechać.

– Mogę pracować do początku stycznia, na cztery tygodnie przed porodem. Podpisze mi pan kwit, bo muszę wracać?

– To jest później niż trzydziesty szósty tydzień.

– Nie – upierała się Kathy. – Trzydziesty czwarty. Czuję się bardzo dobrze. Błagam, niech mi pan nie robi problemów.

– Czy byłby to duży problem, gdyby dziecko urodziło się wcześniej? – zapytał cicho Ben.

– Nie – odrzekła Kathy.

– Bo gdyby był...

– Chcę tu zostać. Mam tu przyjaciół. W wolne dni pomagam w azylu dla zwierząt. Ja tylko... Proszę, niech pan podpisze. – Wcisnęła mu kwit, jakby ją parzył w rękę.

Podpisał, nie spuszczać z niej wzroku.

– Nie zamierzam robić ci kłopotów – oświadczył.

– Nie ma pan powodu.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że hotel roi się od położników, którzy mogą się domyślić...

– Tu się nie ma czego domyślać. To jeszcze kilka tygodni. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Jutro będę miała lepszy dzień, bo mam dyżur w klubie dziecięcym, czyli będę opiekować się Dustym. Nie bardzo wiem, co lubią chłopcy, ale mam nadzieję, że mi powiesz. Moja szefowa uważa, że to obejmuje również opiekę nad psami, więc ty będziesz się opiekował psem, a ja będę siedziała i pilnowała, żebyście nie wpadli do basenu. Dobrze?

Obserwując, jak Dusty zareagował na jej nieśmiały uśmiech, Jess

uznała, że Kathy zastosowała najlepszą taktykę. Ale ta jej ciąży...

– Mam nadzieję, że regularnie chodzisz do lekarza – mruknął Ben, na co Kathy przytaknęła.

– Regularnie chodzę do lekarza. – Ewidentnie kłamała.

Ben się wahał, ale pojął, że dziewczyna nie życzy sobie ich pomocy.

– Widzimy się jutro! – zawołał Dusty, po czym rażno zajął się zawartością kosza.

Kolacja. Sprawa ważniejsza niż jakieś tam dzieci.

TTLRR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po kolacji Dusty padł. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Oparł się o Jess i błyskawicznie zasnął. Ona też była zmęczona, bo dawała się jej we znaki długa podróż samolotem przez kilka stref czasowych.

Zapadał zmrok, wieczór był ciepły, ocean szumiał, a Ben czuwał nad wszystkim niczym dobry duch.

Sporo czasu spędził, robiąc zdjęcia Pokey, „na jutrzejszą prezentację”, ale nic więcej nie chciał powiedzieć. Potem usiadł i w milczeniu obserwował siewki brodzące na płyciźnie. Jess miała wrażenie, że jego spokój koi jej nerwy i lęki.

– Pora zanieść nasze maleństwa do spania – odezwał się po dłuższej chwili, a zabrzmiało to jak spełnienie jej marzeń. „Zanieśmy nasze maleństwa do spania”... Jakby byli jedną rodziną. „Zawsze będę się tobą opiekował...”. Oprzytomniała, gdy nagle przypomniała się jej obietnica Nate’a. Nie ma czegoś takiego jak „zawsze”.

Położyła Dusty’ego na kocu, by pozbierać rzeczy.

– Zostaw to – mruknął Ben. – Nikt nie ukradnie tych łopat. Wróć po nie później. Weź Pokey, a ja wezmę Dusty’ego.

– Sama mogę...

– Bierz Pokey – warknął.

– Nie jestem w ciąży.

– Ale byłaś, a Nate cię porzucił. Poznałem mojego brata na tyle, aby wiedzieć, że zostałaś sama. Na to nic nie poradzę, ale chociaż dzisiaj mogę się zachować jak członek rodziny.

– Nie potrzebuję...

– Ja też nie potrzebuję. Oboje dostaliśmy nauczkę, ale czuję, że Dusty bardzo chce mieć wujka. Mogę być wujkiem przez tych kilka dni. Proszę, pozwól mi go zanieść.

Dusty ani drgnął, gdy Ben położył go na łóżku i od razu wyszedł z pokoju, więc Jess pobieźnie obtarła Dusty'ego z piasku i go okryła. Obok łóżka położyła materacyk Pokey, pocałowała synka na dobranoc, podrapała suczkę po brzuchu, po czym przeszła do saloniku.

Ben stał na werandzie zapatrzony w rozświetlony księżycem ocean. Umknąć do swojego pokoju, a jego tu zostawić? Okazał im dużo dobroci, a ona powinna zapewnić synowi możliwość nawiązania z nim jakiejś więzi. Rodzinnej...

Ale Ben to nie rodzina. A jednak. Ona jest jedynaczką, więc Ben jest najbliższym krewnym Dusty'ego. Nie tylko Dusty myśli o tym, co będzie, gdyby jej się coś stało...

To koszmar każdego rodzica. Po śmierci matki poczuła się tak, jakby wpadła w czarną dziurę. Nikogo bliskiego, znikąd wsparcia. Gdyby ten człowiek...

Nie, nie tędy droga. Otwórz drzwi i z nim pogadaj.

- Kawa? – zapytała.
- Nie, dzięki. Ty już też powinnaś się położyć.
- A ty zamierzasz zostać tu na posterunku?
- Na wypadek gdyby zjawiły się złe duchy.
- Jakie złe duchy?
- Według wierzeń Aborygenów przerażające. – Zniżył głos. – One tu są.

– Okej, zostań na straży.

Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

– Jak to możliwe, że nic o was nie wiedziałem?
– Myślę, że twój brat i ojciec nie byli rozmowni.
– Nasz ojciec wiedział?
– Tak.
– W testamencie nie było żadnego zapisu...
– Dla Dusty’ego?
– Ciotka zostawiła Nate’owi cały swój majątek, więc Nate umarł bogaty, nawet bez spadku po ojcu. Te pieniądze powinny pójść na wychowanie jego syna.

To by dużo zmieniło. Gdyby nie to, że matka wręcz histerycznie nalegała, by skończyła studia, zrezygnowałaby z nich. Tak, te pierwsze lata były prawdziwą gehenną. Studia i praca w nocy, długi...

Wyczytał to z jej twarzy. To jest dobry człowiek, empatyczny. Jak to się stało? W takiej rodzinie...

– Ja to teraz naprawię. Fortuna mojego ojca przypadła mnie. Nie podobało mu się to, ale nie miał wyjścia. Część tego to pieniądze Nate’a. Leżą w banku. Przepiszę je na fundusz powierniczy Dusty’ego, a ty z odsetek będziesz mogła pokrywać związane z nim wydatki. Myślę, że to wam ułatwi życie.

– Nie chcę twoich pieniędzy – zachnęła się.
– Nie proponuję ci pieniędzy. Przekazuję twojemu synowi spadek po jego ojcu.
– Przepraszam – odezwała się po dłuższej chwili. – Zdaję sobie sprawę, że ty to nie twój brat.
– Słusznie – przyznał.
– Nie zasłużyłeś na moją złość.
– Ale moi krewni zasłużyli. Na szczęście jestem ostatni z rodu.

Moja rodzina była wyjątkowo niereformowalna, więc zasługuje na wymarcie.

– Nie mów tak, bo jest Dusty.

– Tak, prawda.

– A ty? Nie jesteś żonaty? Nie masz dzieci?

– Nie daj Boże.

– Jesteś taki sam jak Nate.

– Nie jestem taki sam jak Nate – wybuchnął.

– Przepraszam.

– Ja też przepraszam. – Przegarnął włosy palcami. – Zakładam, że kochałaś mojego brata i że coś z tego zostało. To, jak patrzysz na Dusty’ego...

– Widzę wtedy tylko jego, nie Nate’a.

– Bardzo rozsądnie. Lepiej ci w pojedynkę.

– Tobie też? – Ciekawość wzięła w niej górę. – Nie masz żony, powiedziałeś, że ojciec zostawił ci majątek wbrew sobie, Nate ani razu o tobie nie wspomniał. Ile miałeś lat, kiedy się od nich odciąłeś?

– Niewiele. Jak już mówiłem, moja rodzina się nie sprawdziła, więc uważam, że lepiej nie mieć rodziny.

Ben ma rysy Dusty’ego, ma jego oczy, a ona doskonale wyczuwa swojego syna, więc potrafi czytać z twarzy Bena. Pod maską przeznaczoną dla otoczenia dostrzegła wielką pustkę.

Przypomniała sobie, co przeczytała po śmierci Nate’a, kiedy usiłowała skontaktować się z jego ojcem.

W „Who is Who” oprócz informacji na temat firmy znalazła krótką notkę personalną: „Joseph Oaklander, małżonka Fiona Smythe – Harris, rozwiedziony, burzliwy proces o podział majątku; starszy syn Benjamin

aktualnie przebywa z matką w Australii, młodszy Nathaniel pozostaje z ojcem”.

Rozwiedli się, kiedy chłopcy mieli jedenaście i osiem lat? Pierwszy raz zastanowiła się nad braćmi rozdzielonymi z powodu rozvodu rodziców.

– Bardzo było ci ciężko? – zapytała cicho, świadoma, że to nie jej sprawa. – Że wasza rodzina się rozpadła?

– Trudno było to nazwać rodziną – odparł ponurym tonem. – Nie wiem, co to rodzina. – Zawahał się. – Niezależnie od tego, co opowiadam Dusty’emu.

Cicho zamknęła za sobą drzwi na werandę, jakby w ten sposób chciała uchronić swoje dziecko.

– Jak mam to rozumieć?

– Dosłownie. To widać, że Dusty szuka powiązań z ojcem. Życie was nie rozpieszczało. Cieszę się, że mogę wypełnić te luki, żeby poczuł, że ma krewnych, ale niedługo wy wróćcie do Anglii, a ja zostanę tutaj. Będę odpowiadał na pytania, wysyłał kopie zdjęć, założę dla niego fundusz powierniczy. Nawet spędzę z wami święta, jeśli to konieczne, ale nic poza tym... Ja nie potrzebuję rodziny.

– Dlatego że Dusty przypomina ci Nate’a, kiedy jeszcze byliście razem?

To był strzał w ciemno, ale dostrzegłszy jego nagle ściągnięte rysy, zorientowała się, że trafiła w samo sedno. O to jej chodziło? O to, żeby przebić jego pancerz? Nie. To prawda, za kilka dni ich drogi się rozejdą, a Dusty’emu zostanie iluzja rodziny. „Spędzę z wami święta, jeśli to konieczne...”. Ben nie jest zainteresowany rodziną.

To jej odpowiada, tym bardziej że Ben proponuje im dużo więcej,

niż Dusty oczekiwał. Tych kilka dni z wujkiem Dusty zapamięta na całe życie. W miarę jak będzie dorastał, ta sprawa będzie stopniowo traciła znaczenie. Nie należy domagać się więcej.

Ani zdawać pytań. Ale już to zrobiła, a na jedno z nich nie otrzymała odpowiedzi. „Dlatego że przypomina ci Nate’a, kiedy jeszcze byliście razem?”

– Możliwe – odparł bezbarwnym tonem. – Ale to było złudzenie. Nate wyrósł na człowieka, którego nie mogłem polubić. Ja rozwód rodziców przyjąłem ze smutkiem, Nate zareagował gniewem. Na pewno głęboko to przeżył, to, że stracił matkę i mnie, że został z ojcem. To go zmieniło. Nate, którego znałem... nie zostawiłby was. – Potrząsnął głową. – Wystarczy, to już przeszłość.

– Ale... – bezwiednie dotknęła jego ręki – ale to się nie skończyło. Szkoda, że Nate nie żyje, bo moglibyście o tym porozmawiać, o tym, jak on to przeżył... Może oprócz gniewu była w nim rozpacz.

– Niewykluczone, że po prostu wcześniej niż ja wzniosł wokół siebie mur i nie mógł sobie z tym poradzić – mruknął ochrypłym głosem. – Muszę jeszcze popracować. Mam jutro pierwszą prezentację.

– Z Pokey?

– Pokey pojawi się o dziesiątej.

– Skąd wiesz, że będzie grzeczna?

– Bo już ją rozgryzłem. Zrobi wszystko za podrapanie w brzuszek. Zero godności. – Stara się zapanować nad drżeniem głosu, pomyślała. Trafiła w jego czuły punkt.

Nie jej to należy przypisać, a wydarzeniom tego dnia, tej śmierci o poranku, odkryciu, że ma bratanka, wysiłkowi włożonemu, by uszczęśliwić Dusty’ego.

Dał Dusty'emu siebie, a to najwspanialszy dar, nie opieka nad Pokey, nie zabawy na plaży, nie pokaz fotografii rodzinnych. Po prostu wiedział, czego Dusty potrzebuje najbardziej. Być może Dusty kojarzy mu się z małym Nate'em bardziej, niż jest skłonny przyznać.

– Nie będę cię zatrzymywać – powiedziała. – Zrobiłeś już tak dużo. Dziękuję ci za cały ten dzień, dziękuję za to, że jesteś z nami.

– Nie będę z wami, jak się rozjedziemy w swoje strony, ale jeśli chcesz, to spędzę z wami święta.

– Jeśli taka jest twoja oferta, to musi nam wystarczyć. Tata przez weekend.

– Nie jestem tatą Dusty'ego.

– Nie... Jasne.

– Jestem tylko krewnym. Przez tydzień.

– Potem znowu będziesz sam.

– Tu chodzi o ciebie i Dusty'ego, nie o mnie.

Powinna zamilknąć, ale jej się to nie udało.

– Ben, poznałam twojego ojca i domyślam się, jak wielką krzywdę wam wyrządził. To, że jesteś sam...

– Daj spokój.

Posunęła się za daleko i musi się z tego jakoś wyplątać. Ona nic do niego nie ma, on jest jedynie krewnym jej syna. Ale... ale ta pustka... Czują ją.

„Jeśli chcesz, to spędzę z wami święta... ”.

Niby zwyczajne stwierdzenie, ale sprawiło, że zrobiło się jej zimno. Już chciał odejść, ale ona chwyciła go za rękę. Co ty robisz, oszalałaś?!

– Ben, nie jesteś prawdziwym Oaklanderem. Mówisz, że poświęcisz Dusty'emu swój czas i za to jestem ci wdzięczna, bo on będzie uważał, że

tak by było z jego tatą. Ale to nieprawda. Jesteś inny niż twój ojciec lub jego tata. Może Nate w dzieciństwie... ten, którego kochałeś... Może to mnie w nim tak pociągało... I chyba tego pragnę dla mojego syna. Kogoś, kto potrafi kochać.

– Ja nie...

– Kiedyś kochałeś – zauważyła. – I znowu możesz pokochać, pod warunkiem że sobie na to pozwolisz.

– Nie zamierzam...

– Wiem, ale mógłbyś. Dusty to wspaniałe dziecko i jest twoją rodziną, czy ci się to podoba, czy nie. – Uśmiechnęła się, wyczuwając toczącą się w nim walkę.

Dobry człowiek zmagający się z uwarunkowaniami wyniesionymi z trudnego dzieciństwa.

W jego oczach dostrzegła smutek, który nieoczekiwanie i wbrew jej woli obudził w niej instynkt. Nim się zorientowała, co robi, to już się stało. Wspięła się na palcach i musnęła jego usta wargami.

W jego spojrzeniu błysnęło... pragnienie?

Co ona wyrabia?! Oszalała?

– Chciałam ci podziękować – wyjąkała. – Jako ktoś, kto mógł zostać twoją szwagierką. Dobranoc. Dziękuję za to popołudnie, za przygarnięcie Pokey i za Dusty'ego. Do jutra.

Ostatecznie zwyciężyła ta rozsądna Jess. I to ta Jess odwróciła się i weszła do domu.

Co to było?! Pocałowała go była dziewczyna jego brata. Jess. Ciągłe czuł na wargach jej smak, a także zapach soli morskiej na jej skórze. Nie zamierza się angażować. Kiedy zaczął się spotykać z Louise, od razu się zastrzegł, że niczego jej nie obiecuje, ale Louise zmieniła zdanie. Była zła,

gdy okazał się niewzruszony, ale przyznała, że grał fair. Ale Jess...

Już coś go z nią łączy. Dusty, syn brata. To, że jego rodzina zignorowała Jess, skazało ją na życie w ubóstwie, podczas gdy ułamek ich rodowej fortuny diametralnie zmieniłby jej sytuację. Czuł, że ma wobec nich dług. Ale za tym, co czuł, kryło się jeszcze coś. Jess.

I jej dziecko. To, jak Dusty na niego patrzy. Na nic zdały się te argumenty, bo nie mógł się skupić na Dustym.

Jess. Ona nic do niego nie ma. Ona jest tylko matką Dusty'ego, osobą haniebnie potraktowaną przez jego rodzinę. Naprawi to i da sobie spokój.

Ale jego umysł się na to nie zgadzał. Co się z nim dzieje? Dlaczego reaguje jak przestraszony dzieciak?

Nie, to nie tak. Po prostu podjął decyzję, że nie będzie się angażował. Nie zapomni tego nieopisanego bólu, gdy matka oderwała go od Nate'a. Drugi raz czegoś takiego nie przeżyje. Najważniejsze to się nie angażować. To jego życiowa zasada i będzie się jej trzymał.

Jess daje Dusty'emu wystarczająco dużo miłości, więc on ograniczy się do przekazania mu rodzinnych pamiątek, pokaże, jak wygląda wujek, wesprze finansowo. Jess zrobi resztę. Ona tego chce. Ale sama Jess...

Było w niej coś, co go głęboko poruszyło.

– Oaklander, weź się w garść – mruknął. – Bierz się do roboty, bo musisz dopisać psa do prezentacji.

Zamiast o Jess zaczął rozmyślać o Pokey. O USG, o pozycji „zdechł pies” z czterema łapami do góry, o przyjemności, jaką jej sprawia wodzenie sondą po brzuchu. Co z nią będzie po konferencji? Ktoś ją zechce?

To nie twój problem. Nic nie jest jego problemem. Jego zadaniem

jest wygłosić referat, porozmawiać z kolegami i wrócić do Sydney. On się nie angażuje. Nigdy.

Zatem tego dnia nie wydarzyło się nic, co by mu kazało tępo gapić się na morze.

Zgon Marge. Pokey. Dusty. Jess. To nie ma z nim nic wspólnego. Absolutnie nic.

Wprowadź poprawki do referatu i idź spać.

Pocałowała go. Tak, kompletnie zwariowała.

– Pocałowałam Oaklandera – jęknęła, nakrywając głowę poduszką.

Śpij. Łatwo powiedzieć. Wyskoczyła z łóżka, odsunęła zasłonę i wyjrzała. Ben szedł sztywnym krokiem w stronę plaży. Jak człowiek nękany przez demony.

Nie jej demony, nie jej problem. Więc dlaczego go pocałowała? Bo oszalała.

Coś stuknęło w pokoju Dusty'ego, a po chwili niewielki cień wpełzł do saloniku, zatrzymał się przed miską i zaczął chłeptać. Pokey popatrzyła na miskę, po czym weszła do niej przednimi łapami i tak stała, jak ten mężczyzna zapatrzony w noc.

Pokey straciła Marge. Ben stracił dużo więcej.

Ale dla Pokey można coś zrobić.

Wstała z łóżka i zawołała suczkę, która poczłapała w jej stronę. Gdy usiadła na posadzce, Pokey z westchnieniem wdrapała się jej na kolana.

Jej brzuch się poruszył. W swojej karierze położnika Jess spotkała się zaledwie z trojaczkami, ale zapamiętała słowa tej kobiety pod koniec ciąży: „Marzę, żeby się uwolnić od tego ciężaru...”. Do tego samego wzdycha Pokey. Jest jej gorąco, jest zmęczona i znalazła się w obcym miejscu. I nie wie, co ją czeka.

– Wystąpisz razem z Benem – szepnęła Jess. – Chyba że nie chcesz, bo uważasz, że to będzie pogwałceniem twojej prywatności.

Ale nie... Ben będzie miał tę magiczną sondę.

– Ty byś wszystko oddała za tę sondę. – Uśmiechnęła się, po czym wyobraziła sobie, jak Ben drapie Pokey po brzuchu, jego uśmiech...

– On jest genialnym położnikiem. Możesz mu zaufać.

Zaufać Oaklanderowi? Benowi, a to zupełnie inna sprawa. Może powinna wziąć zimny prysznic? Od czasów Nate'a kierowała się rozsądkiem, instynktem samozachowawczym. Do dzisiaj.

– Pora spać – powiedziała tak ostrym tonem, że Pokey aż drgnęła. – Przepraszam, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Jutro wszystko wróci do normy. Może jutro już urodzisz.

Suczka spojrzała na nią z wyrzutem.

– Tak, wiem. Moje panowanie nad hormonami w obecności doktora Oaklandera to nic wobec czworaczków. Urodziłam jedno dziecko, ale to był bardzo długi poród. Jednak powiem ci, że w tej chwili zapanowanie nad hormonami wydaje mi się prawie niemożliwe.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Międzynarodowe Sympozjum Położników i Ginekologów rozpoczęło się w poniedziałek rano.

Dusty i Pokey pod opieką Kathy udali się na plażę natomiast Jess w czarnej spódnicy, białej bluzce, rajstopach i szpileczkach na obrady. Ona, lekarz położnik znalazła się w gronie kolegów po fachu. Rozpoznała wśród nich kilka osób, które szkoliły się w jej szpitalu a nawet dwóch byłych przełożonych. Rozmawiając z nimi, miała szansę trzymać się z daleka od Bena.

Otoczony wianuszkami kolegów stał w drugim końcu foyer. Próbowła słuchać narzekań jednej ze starszych koleżanek na obsługę w hotelu, ale wpatrywała się w Bena. W pewnej chwili, gdy się odwrócił, ich spojrzenia: się spotkały. Niedobrze, nie tak miało być.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam, muszę zająć sobie miejsce – zwróciła się do malkontentki, po czym ruszyła do sali.

Gdzie usiąść? W środkowych rzędach, trochę z boku by nie pomyślał, że się przed nim chowa, ale w pewnej odległości, by nie wyglądało, że chce być blisko.

– Może w pierwszym rzędzie pośrodku? – odezwał się Ben, stając w wejściu, gdy pochyłona kładła na podłodze teczkę z materiałami konferencyjnymi. – Hej, Jess!

Trudno. Spojrzała na niego.

– Doktor McPherson pomaga mi opiekować się eksponatem A – wyjaśnił organizatorowi spotkania. – Jess, możesz tu podejść, żeby mi

pomóc?

- Przyszłam tu, żeby słuchać.
- Nie pomożesz mi?
- Wolę nie.
- Ach, ci Brytyjczycy... – Ben zwrócił się do stojącego obok mężczyzny. – Kiedyś wspierali nas w koloniach, ale od kiedy zaczęliśmy wygrywać w krykieta...

– Większy byłby z was obojga pożytek, gdybyście grywali w baseballa... – zaripostował lekarz z USA.

Ta uwaga wywołała salwę śmiechu.

- Przyprowadzić Pokey? – Tyle może mu pomóc.
- Nie trzeba, umówiłem się z Kathy. Siedź i słuchaj.

Słuchała go z zapartym tchem. Spodziewała się danych statystycznych, technicznych, omówienia powikłań. Zamiast tego Ben posłużył się przykładem Pokey, pokazując jej zdjęcia. Na jednym z nich suczka z nadzieją w oczach obserwuje rozpakowywanie kosza piknikowego i pierwszą parówkę, która niknie w ustach Dusty'ego. Psina drżała z przerażenia, że nic nie dostanie.

Analogia do ciężarnej kobiety potrzebującej pomocy.

– Nigdy nie wiadomo, w jakiej sytuacji będzie wasza mama – mówił. – W samochodzie na odludziu, gdzie jedynym pomocnikiem może się okazać emerytowany murarz, który akurat tamtędy przejeżdżał; nastolatka, która nikomu nie powiedziała o ciąży, albo kobieta po czterdziestce otoczona wianuszkami opiekunów, w pachnącej kąpielni, wśród aromatów kadzidełek. Największą przeszkodą, którą trzeba pokonać, jest strach. Przedstawiam państwu Pokey, ciężarną mopsicę. Gdy ją wczoraj poznałem, moim priorytetem stało się przekonanie jej, że

wszystko jest w porządku.

Na kolejnych zdjęciach Pokey dostaje wymarzoną parówkę, po czym razem z Dustym kopie dół w piachu. Dalej slajdy ciężarnych kobiet popijających herbatę. Tym z interioru i tym w eleganckich poczekalniach podano ją w blaszanych kubkach.

– Polecam takie stare babcine kubki. Zrezygnujcie z tych z napisem „Australijska Służba Zdrowia”. Zastąpcie je dużym, lekko sfatygowanym kubkiem, takim, w jakim babcia dawała wam po szkole kakao. A jeśli pacjentka jest głodna, nie dawajcie jej kanapek w plastikowym pudełku, ale wyłóżcie je na talerz, a jeszcze lepiej zaserwujcie jej jajko na grzance. Jak trzeba, zróbcie je sami.

Zdjęcie przytulanej suczki i kolejne analogie. Dłoń na ramieniu, dłoń dotyka dłoni, palec gładzący kobiece policzki.

– Nie bójcie się, nikt nie poda was do sądu za to, że komuś dodaliście otuchy. Dotyk bywa lepszym środkiem przeciwbólowym niż leki. Ludzkie odruchy, zapewnienie, że będziecie ją wspierali aż do rozwiązania. Podobnie, jeśli do was zadzwoni. Zdaję sobie sprawę, że nie zawsze jesteście pod telefonem. Jeśli się boi, polecicie jej kogoś, kto zawsze chętnie z nią porozmawia, albo znajdźcie jakiegoś starszego faceta, który będzie dostarczał jej wsparcia. Powiedzcie: „Mac zawsze będzie przy tobie. On lubi, jak się na niego wrzeszczy. Możesz mu wykrzyknąć, co naprawdę myślisz o tej sile, która zawładnęła twoim ciałem”.

Śmiech na sali.

Znowu Pokey i dziura w piasku oraz nowe analogie

– Jeśli pacjentka nie jest w drugim stadium porodu, nie ma potrzeby, żeby leżała i wpatrywała się w sufit, czekając na kolejny skurcz.

Niech się czymś zajmie. Większość matek myśli tylko o dziecku, więc trzeba to rozładować. – Slajd niczym *collage*. – Zapytajcie o imiona. O to, gdzie będzie stało łóżeczko, ile przygotowała pieluch, jak duża jest jej pralka. Jeśli nie zechce odpowiadać, to nie nalegajcie, ale pamiętajcie o takich pytaniach, bo mogą się przydać przy następnym skurczu.

Jakie to proste, pomyślała Jess. Proste i zarazem trudne. Ben mówił o ochotnikach przydzielanych każdej kobiecie, która wyrazi na to zgodę. Ich rola? Pocieszyć, rozerwać, zapewnić, że będzie dobrze. Efekt? Spadek liczby cesarskich cięć, spadek liczby porodów kleszczowych i co zdumiewające, spadek liczby przypadków depresji poporodowej.

– W tym nowocześnie urządzonej świecie często zapominamy, że te proste odruchy są równie ważne jak najlepszy sprzęt. Ale on też jest niezmiernie ważny.

Gładko przeszedł do urządzeń przydatnych dla lekarzy w trudno dostępnych regionach, a na koniec przedstawił aparat USG przetestowany poprzedniego dnia.

Na scenie zjawiała się Pokey, a wniósł ją... Dusty.

Jess wstrzymała oddech. Krok za Dustym szła Kathy jako jego oficjalna opiekunka.

Dusty promieniał, Ben promieniał.

– Oto nasza mama. Wabi się Pokey, a towarzyszy jej Dusty. Na początek trzeba ją przekonać, że nic jej tu nie grozi.

Pokey nie sprawiała wrażenia zagrożonej, okazywała jedynie pewną czujność, ale gdy Ben poczęstował ją smakołykiem, błyskawicznie o niej zapomniała.

– Podobny efekt może odnieść kubek herbaty, herbatnik, propozycja masażu pleców albo prysznic. Cały przerażający sprzęt trzymajcie za

zasłonką.

Podrapał Pokey za uchem, po grzbiecie, po czym odwrócił ją i pogładził po brzuchu, co sprawiło, że natychmiast wyciągnęła tylne łapy.

Towarzystwo wokół Jess zaczęło świetnie się bawić.

– Nie namówimy jej, żeby teraz zaczęła rodzić – stwierdził Ben – za to możemy odwrócić jej uwagę, żeby ją zbadać, na przykład, robiąc USG. Sprawdźmy, jak się ten przenośny sprzęt spisze na naszej pacjentce.

Ryzykowne, pomyślała Jess. Co będzie, jak Pokey odmówi współpracy?

Dusty, z każdą chwilą coraz bardziej dumny, podrapał suczkę za uchem. Popatrzyła na sondę, po czym rozpoznając ją, radośnie zamerdała ogonem i od razu przyjęła pozycję „zdechł pies”.

– Dusty, poprowadzisz sondę tak jak poprzednio?

Dusty jest najważniejszy? Pani Morey już miała ochotę zaprotestować, ale się powstrzymała. Jeśli Dusty może wykonać to badanie, to z tym większą łatwością wykona je pielęgniarzka.

– Obraz można przesłać internetem do specjalisty – wyjaśnił Ben. – Ale Dusty też potrafi go zinterpretować. Dusty, co widzisz?

Chłopiec naśladował ruchy podpatrzone za pierwszym razem, zatrzymując sondę na każdym małym łebku.

– Powiedz nam, co tam jest.

Po chwili wahania Dusty zaczął opowiadać o czterech szczeniakach, łapkach, łebkach, ogonkach.

– Ten jest największy. Wydaje się nam, że to suczka, ale nie do końca jesteśmy pewni. Można mu zmierzyć łebek. Zrobiliśmy to wczoraj. Mój wujek Ben powiedział, że ten szczeniak urodzi się bez trudu, a za nim pozostałe.

Dzięki temu aparatowi można zmierzyć wielkość, ustalić ułożenie, wykluczyć albo potwierdzić anomalie, pomyślała Jess. Pozwolić kobiecie kontynuować poród albo zorganizować natychmiastowy transfer do szpitala. Istotne narzędzie wspomagające podejmowanie decyzji. A przy tym zero strachu. Trudno o istotę mniej przestraszoną niż Pokey, pomyślała. Jest w siódmym niebie.

Nagle zauważyła stężałe rysy twarzy Bena i od razu instynktownie się zorientowała, co jest przyczyną.

„Mój wujek Ben”. Czyżby był dumny z Dusty’ego? Bo ona mało z dumy nie pęknie.

– Nie mam nic więcej do dodania — oświadczył Ben dziwnie zmienionym głosem, ale było to bez znaczenia, bo prezentacja dobiegła końca.

Gdy uczestnicy klaskali, Dusty wziął na ręce Pokey, a Jess patrzyła, jak dumnie wypina pierś. Uśmiechał się od ucha do ucha. Gdy zobaczyła, jak Ben kładzie mu rękę na głowie, serce się jej ścisnęło.

– Fantastyczna prezentacja – szepnął jej sąsiad.

– Tak, on... tak, świetna.

Ben jest fantastyczny, a ona ma teraz wielki problem.

Wychodząc na kawę, uczestnicy konferencji zatrzymywali się przy Dustym, by pogratulować mu wspaniałego psa i go pochwalić.

Hm, wspaniały pies.

– Musimy poważnie porozmawiać. – Usłyszawszy ten głos, aż drgnęła. – Mam wrażenie, że nasz Dusty się zakochał.

Nasz Dusty. Aha! Zaborczy Oaklander.

Nie, to zwyczajna uwaga, bez znaczenia. Daj spokój.

– Byłeś... rewelacyjny. Jestem pewna, że od dzisiaj wszyscy

słuchacze będą się stosowali do twoich rad.

– Bo do tego się to sprowadza – rzucił skromnie.

– No i teraz już dyrekcja hotelu nie odważy się wyrzucić Pokey.

– Na pewno dopóki ja tu będę. – Z dumą popatrzył na Kathy, Pokey i Dusty’ego. – Bardzo lubię, jak wszystko idzie zgodnie z planem.

– W oczach Dusty’ego urosłeś do rangi bohatera – zauważyła. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że po świętach też będzie chciał być z tobą w kontakcie.

– Są e – maile.

– Telefon?

Wahał się z nieprzeniknioną miną.

– Lepiej nie. Chyba jasno powiedziałem, że rodzina mnie nie interesuje.

Przytaknęła. Z ulgą? Kamień powinien spaść jej z serca. Więc dlaczego nagle zrobiło się jej zimno?

– Okej, rozumiem. Bądź miły dla Dusty’ego przez święta, o nic więcej nie proszę. Wytłumaczę mu, że tylko e – maile. On też nie potrzebuje rodziny. Ma mnie.

Dlaczego znowu się zdystansował? Podczas prezentacji widział, jak Jess się śmieje rozbawiona, uszczęśliwił Pokey, wywołał uśmiech na twarzy Dusty’ego, aż tu nagle... Rodzina mnie nie interesuje.

To samo powiedział Louise. Ale Jess to co innego. To nie jest początek romansu. Jess jest samotną matką, kochanką jego brata. Nie, nie i jeszcze raz nie.

Mimo to, zdawał sobie sprawę, że ją uraził. Jak odmawiać, by nie ranić? Nigdy się tego nie nauczy.

Wysłuchawszy drugiej prezentacji, wyszła na poszukiwanie

Dusty'ego. Całą trójkę zastała w domu. Spali jak zabici. Dusty i Pokey na łóżku, Kathy na kanapie. Wolałyby, by nie spali.

Powinna wrócić na wspólny lunch, ale nie miała ochoty patrzeć, jak Ben bryluje, przebywać w tej samej sali, a na stole zauważyła resztki posiłku Dusty'ego i Kathy.

Wyniosła je na werandę i zjadła, siedząc na stopniach. Przez cały czas starała się nie myśleć o Benie.

Po lunchu przewidziano trzy spotkania: jedno poświęcone sprawom technicznym, drugie to dyskusja panelowa, a trzecie na temat znieczulenia w trakcie cesarskiego cięcia. Panel miał prowadzić Ben, a szkolenie poświęcone cesarskiemu cięciu zaliczyła pół roku temu.

Okej, pójdzie na spotkanie techniczne, a potem się urwie.

Nie musiał wysłuchiwać referatu o cesarkach, bo jego autorka wcześniej poprosiła go o uwagi. Znał go na pamięć. Kilka zespołów także prosiło go o opinie, a do kolacji zostały trzy godziny. Zdążyłby. Ale...

Uraził Jess. Nie, nie chodzi o nią, a o obietnicę spędzenia czasu z synem rodzzonego brata.

Wymknął się z sali, przebrał i ruszył na plażę. Tam będzie Jess. Poszuka Dusty'ego. Jess...

Wszedł na plażę w tej samej chwili co ona.

Z Kathy i Dustym bawiły się jeszcze inne dzieci. Nieopodal rozpoznał Harriet, żonę jednego z organizatorów symposium. Siedziała na leżaku pod parasolem, a obok niej stała ogromna lodówka turystyczna. Na drugim leżaku odpoczywała Kathy.

Ben zauważył, że jej brzuch obniżył się jeszcze bardziej, ale z twarzy zniknęło zmęczenie. Sprawiała wrażenie zrelaksowanej, za to Jess wyraźnie nie wiedziała, co robić. Dusty szalał w wodzie, gdzie trzej mali

Australijczycy uczyli go sztuki surfowania.

Pokey spała pod leżakiem Kathy.

Dziewczyna się uniosła, ale Jess ją powstrzymała.

– Nie, nie wstawaj.

Nie uszło jego uwadze, że Jess jest w rozterce. Z jednej strony rozważała potrzebę bycia z synem, z drugiej, jego potrzebę zabawy z kolegami, z trzeciej potrzeby Kathy.

– Nie będę wam potrzebna – oznajmiła dziewczyna. – Hotel pobiera opłatę za godzinę. Mam wyrzuty sumienia, że się tu wyleguję. Już pójdę.

– Ale my nie mamy zamiaru zabierać Dusty’ego, prawda, pani doktor?

– Ja...

– Doktor McPherson i ja musimy porozmawiać o współpracy między naszymi szpitalami. Przejdziemy się do schroniska dla zwierząt, sprawdzimy, jak czują się Sally i Dianne, a po drodze omówimy ten projekt. Kathy, możesz popracować dla nas trochę dłużej? Harriet, czy oni ci nie przeszkadzają? Pokey nie chrapie za głośno?

Wybuchnęli śmiechem, łącznie z promieniejącą Kathy. Dwie godziny dłużej na leżaku.

Ben sobie przypomniał, że Harriet jest położną. Może jej uda się przemówić tej dziewczynie do rozsądku.

– Najpierw musicie czegoś się napić – zarządziła Harriet, wyjmując z lodówki lemoniadę. – Włóżcie coś na głowę i pamiętajcie o filtrze UV.

– Tak jest, proszę pani – zameldował Ben.

Milczeli dłuższy czas.

Chyba zachowałem się jak despota, pomyślał, spostonowałem ją. Właściwie nie miał zamiaru zabierać jej na przechadzkę. Samej.

Nieroztropnie? Bardzo. Ale gdyby nie była matką Dusty'ego... dziewczyną Nate'a...

Wycofaj się. To zakazany owoc, nie pożądam czegoś, co ci się nie należy.

– Przepraszam – odezwał się, gdy z plaży zeszli w busz. – Myślałem, że chcesz, żeby Kathy została z Dustym. Widziałem, że się wahasz.

– Świetnie to rozegrałeś – zachnęła się.

– Nie chciałaś tego?

– Chciałam być z Dustym.

– Ja też.

Szeroko otworzyła oczy.

– Tak, naprawdę. Ale też chciałem z tobą porozmawiać, przeprosić za to, że rano sprawiłem ci przykrość. Pomyślałem, że urwę się z konferencji, żeby to nadrobić, pobawić się z Dustym. – Uśmiechnął się. – Trochę to przykre, że on lepiej się bawi bez nas. Wiele matek by go stamtąd zabrało.

– Ja nie jestem jak one.

– Mogłaś odesłać Kathy. Widziałem to po twojej minie, ale domyśliłem się, że nie chcesz tego robić.

– Trafnie się domyśliłeś.

– Ale to boli.

– Rozstania nie są łatwe.

Ben tylko westchnął na wspomnienie Nate'a, gdy zobaczył go ostatniego dnia, bladego, przerażonego ośmiolatka. Znowu poczuł ten sam ból. Rozstania...

Szła obok niego w pareo, pod którym widać było zarys czerwonego

bikini, w dużych ciemnych okularach, z rozpuszczonymi włosami, które spływały jej na ramiona spod szerokiego ronda kapelusza. Taka wolna...

Zakazany owoc.

– Do tej pory widziałam tylko jednego kazuara – odezwała się. – Chciałabym zobaczyć ich więcej.

– Te dwie ekolożki wspomniały o dwóch gniazdach, ale nie chcą powiedzieć, gdzie one są.

– To dobrze... że kazuary są pod ochroną. Przytaknął, ale myślał tylko o tym, jak ona wygląda.

Jak... Nie. Odwrócił wzrok.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szła ścieżką targana sprzecznymi emocjami, cały czas czując obecność mężczyzny kroczącego obok. Na sympozjum w eleganckim garniturze, teraz w bermudach i spłowiałej koszuli z podwiniętymi rękawami. Wspaniały. Widać, że dużo czasu spędza w siłowni.

Nagle, nim zdążyła pisnąć, porwał ją na rękę i przeniósł kilka metrów dalej.

– Co... Co ty wyprawiasz?!

– Wąż! – Przeniósł wzrok tam, gdzie przed chwilą się znajdowała. – Rozglądam się, żeby zanim cię postawię, upewnić się, że nie ma ich tu więcej.

– Wąż...?

Tak, długi na półtora metra, czarny, pod spodem czerwony. Wręcz piękny na tle złocistego piasku.

Wąż, brrr!

Dlaczego, idąc ścieżką w australijskim buszu, myślała o niebieskich migdałach?! Niczego nie nauczyła się od ojca? Mimo że cała jej uwaga skupiała się na wężu, miała świadomość, że znajduje się w objęciach Bena. Czuła bicie jego serca. Wąż. Muszę wziąć się w garść, pomyślała.

– Możesz mnie już puścić?

– Zaraz. – Określił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. – Nie chcę, żebyś nadepnęła na drugiego węża.

– Ja też mogę się rozglądać. Oboje mamy sandały.

– Oboje jesteście durni.

– Ben, znam się na wężach, uwierz mi. Skoro już zostałam

ostrzeżona, będę miała się na baczności. Proszę, puść mnie.

Posłuchał, chyba się ociągając. Chyba to tylko jej wyobraźnia, bo ile to już lat nie obejmował jej żaden facet? Zwłaszcza taki jak Ben Oaklander.

– Ty znasz się na węzach? – Nie krył niedowierzania.

– Tak. – Przyjrzała się gadowi z bliska. – On jest ranny.

– Wąż? Ranny?

– Jest gorąco, więc węże jako zwierzęta zmiennocieplne są w upał najbardziej aktywne. Przestraszyliśmy go...

– My jego?!

– A on się nie ruszył. – Przyjrzała się mu uważnie. Gad sprawiał wrażenie, jakby chciał uciec, a nie mógł.

– Przejmujesz się węzem? Jesteś Angielką.

– Jak ty Australijczykiem. Nie całkiem.

– Mieszkam tu od jedenastego roku życia.

– A ja znalazłam się w Anglii w wieku lat dwunastu, bo wychowywałam się w Afryce. Uczył mnie ojciec. – Podeszła jeszcze bliżej węża, ale czuła, że zwierzęciu chodzi tylko o ucieczkę. – Są węże jadowite, ale większość z nich jest zajęta swoimi sprawami, boją się nas bardziej niż my ich. O, tu na brzuchu ma ranę, paskudną, już są w niej mrówki. – Rozejrzała się. – To w tym miejscu wczoraj zarzuciło wózką Sally. Może to ona albo coś innego go zraniło, ale podobno na tej wyspie nie ma drapieżników. On chyba jest w agonii.

– Zostawimy go matce naturze?

– Nie ma mowy. Możemy mu pomóc – powiedziała, rozwiązując pareo. – Potrzebny mi kij, długi i mocny.

– Chcesz go zabić? Dlaczego się rozbierasz?

– Żeby z pareo zrobić worek. Nie zamierzam go zabijać. Zabierzemy go do azylu, oczyścimy ranę i być może wydobrzeje. Ale musisz mi pomóc.

– Pomóc ci...

– Nie proszę, żebyś pomógł mi go schwytać. Chcę, żebyś mi tylko coś pottrzymał.

– Już to kiedyś robiłaś?

– Tak.

– Kiedy?

– Jak miałam dwanaście lat. Często się przyglądałam, ale pozwolono mi schwytać tylko jednego, a potem tata zginął...

– Twój ojciec zginął?

– Tak.

– Ukąszony przez węża? – Nie krył przerażenia.

Ku jego zdumieniu Jess się uśmiechnęła.

– Nie, bardziej prozaicznie. Jego auto spadło w przepaść z drogi rozmytej deszczami. Nauczył mnie, jak zachowywać się w obecności lwa, ale nie ostrzegł siebie przed osunięciami ziemi.

– Lwy...

– No dobra, lwiątko. – Znowu się uśmiechnęła. – Znajdź mi kij – powtórzyła. – Solidny.

– Chcesz w bikini i sandałkach chwytac węża?

– Rzeczywiście, czuję się trochę goła – przyznała, wiążąc brzegi pareo. – Muszę mieć worek, a dżentelmen mógłby mi użyczyć koszuli. W szortach wyglądasz lepiej niż ja w kostiumie.

Patrzył na nią jak na kosmitkę, ale nie miał wyjścia: podał jej koszulę. Pospiesznie ją włożyła, a on pomyślał, że powinien wziąć ją na

ręce i wynieść jak najdalej.

– Kij, nie gałązka. Gruby co najmniej na trzy palce, bo one bywają bardzo silne. I daj mi swój kapelusz.

– A nie szorty?

– Szortów możesz nie zdejmować.

– Co za wspaniałomyślność...

Znalezienie kija grubego na trzy palce wcale nie było łatwe. Gdy zszedł ze ścieżki, każdy patyk wydawał mu się węzem. Paranoja. W końcu go znalazł.

– Super – pochwaliła go niczym ordynator stażystę.

– Co teraz?

– Położymy twój kapelusz obok mojego i spróbujemy namówić węża, żeby wszedł do worka. Wolałabym, żeby mnie nie ukąsił, więc potem worek włożymy do mojego kapelusza i przykryjemy twoim. W ten sposób będziemy mieli wężoodporny pojemnik.

– Chyba różnie wyobrażamy sobie wężoodporność.

– Ma pan inne wyjście, doktorze? – Wzięła się pod boki. Ohoho, na niej ta koszula wygląda zdecydowanie lepiej niż na nim!

Z zapartym tchem i nieskrywanym przerażeniem obserwował jej poczynania. Zamarł, gdy przytrzymał węża kijem, chwyciła go tuż za głowę.

– Mam go, ale jest ciężki. Podtrzymaj go, jak będziemy go wkładać do worka. On jest przestraszony, a w worku będzie ciemniej, więc uzna to za kryjówkę. W ostatniej chwili zawiążę worek.

Udało się. Mimo że wąż był ranny, dzielnie walczył. Sama by sobie nie poradziła. Ben zaś był pełen podziwu. Lekarka z Londynu, drobna kobieta, radzi sobie z węzem, jakby to była jej kolejna rodząca pacjentka.

– Teraz przekładamy worek do mojego kapelusza – powiedziała, nadal trzymając węża tuż za głową.

Wąż jak szalony miotał się w worku.

– Super, teraz się odsuń, bo go puszczę i zawiążę worek.

– Nie. Zarzucę mu brzeg worka na głowę i zawiążę nad twoimi palcami.

– Ryzykujesz...

– Ty też. Masz syna, a ja nie.

– W hotelu nie ma szczepionki.

– Zdaję sobie sprawę z komplikacji, nie sprzeczasz się. Raz, dwa, trzy!

W końcu wąż znalazł się w worku nakrytym kapeluszem.

– Ładnie – przyznała – ale przydałoby się dodatkowo to obwiązać. – Oderwała rękaw koszuli i rozdarła go tak, by powstał długi pas materiału, po czym owinęła kapelusz tak, by na górze powstała pętla.

– To moja ulubiona koszula – jęknął, a ona się uśmiechnęła.

– Bałam się, że to powiesz, i dlatego nie zapytałam, czy mogę.

Czarująca. A Nate ją rzucił?!

– Idziemy, bo on potrzebuje pomocy. Trzeba ranę oczyścić, zaszyć i położyć go w ciepłe, żeby miał większą szansę. Dzikie zwierzęta często padają z powodu wstrząsu, a węże nie są wyjątkiem. Weźmiesz go?

– Ty go zapakowałaś, więc wypada, żebym ja go niósł.

– To chyba jeden z tych mniej jadowitych – stwierdziła Sally, gdy Jess opisała jej węża. – Ale to zagrożony gatunek. Żywi się ropuchami aga, ale ich populacja znacznie się skurczyła, kiedy rozsypało trutkę przeciwko agom. – Sally westchnęła. – Wężami zajmowała się Marge, a ja, głupio przyznać, się ich boję. Dianne też ich nie lubi, a weterynarz

przyjedzie dopiero jutro. Włożymy go do klatki i miejmy nadzieję, że dożyje.

– Jeżeli Marge się nimi zajmowała, to znaczy, że jesteście na to przygotowane.

– Rękawiczki i te sprawy? Jest tego cała szafa. Jak chcesz, to ci ją pokażę.

– Chcesz go sama zaszywać? – zapytał Ben.

– Jasne. Nie słyszałeś, że jest mało jadowity?

– Tylko trochę. Czyli zanim się umrze, trzeba dać się mu mocno pokąsać. To bardzo miłe zwierzątko.

– Nie denerwuj się. Jeśli Marge się nimi opiekowała, to znajdzie się tu skórzany kaptur, którego zęby nie przebija. Przez materiał wyczujemy, gdzie jest głowa, nałożymy ten skórzany worek na górną część ciała i zajmiemy się drugim końcem. *Et voila !*

Ben tylko się przyglądał wężowi, który leżał bezwładnie na stole. Ta rana wygląda, jakby go coś przejechało, pomyślał.

– Najpierw ją oczyścimy, a potem zaaplikujemy super glue – powiedziała Jess, szperając w szafie.

– Super glue?

– Brzmi nieszczególnie, ale to jest to. Ojciec zawsze go używał, bo szwy długo nie wytrzymają. Oczyścimy ranę, zsuniemy brzegi, posmarujemy klejem, okleimy plastrem i będziemy czekać.

– Wariatka – mruknął, uśmiechając się, bo przecież bardzo lubił wyzwania.

Przez co najmniej pół godziny oczyszczał ranę z piasku i kamyków, by potem pracowicie naciągnąć jej brzegi i w końcu zaaplikować klej. Jess tymczasem nie mogła się nadziwić jego wprawnym ruchom. W kilku

miejskach musiałyby posłużyć się pęsetą, co niechybnie skończyłoby się rozerwaniem skóry, a on zrobił to palcami. W końcu, gdy nałożyli ostatnią kroplę kleju, Jess owinęła to miejsce plastrem, mimo że było pewne, że za kilka godzin wąż go zrzuci, ale przez ten czas klej zdąży porządnie zaschnąć.

Zabieg wymagał dużych umiejętności, a wszystko po to, by ratować węża, który mógł ich ukąsić, gdyby na niego nadepnęli. Węża, który mimo to mógł paść.

Wąż leżał bezwładnie. Hm... może już zdechł? – pomyślał Ben, trąc go palcem.

– Głupio by wyszło, gdybyśmy przenieśli pacjenta na oddział pooperacyjny i dopiero tam się zorientowali, że od pół godziny nie żyje.

– Sprawdź mu parametry życiowe.

– Jak się je reanimuje? – zastanawiał się Ben. – Mamy luki w edukacji, ale klej się sprawdził w stu procentach.

– Nawet nie będzie blizny – zachwyciła się Jess.

Ben odsunął się od stołu.

– Można powiedzieć, że operacja się udała.

– Nawet jeśli pacjent zdechł?

– To nieistotne, pani doktor. My swoje zrobiliśmy.

– Ale jeszcze musimy włożyć go do klatki.

Hmm...

– Mięczak – prychnęła. – Ja wezmę głowę, ty resztę.

– Nie, to niesprawiedliwie. Ty już trzymałaś głowę.

– Owszem, ale tym razem on ma skórzany kaptur.

– No właśnie. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie jestem naiwny.

Dianne poprowadziła ich do przygotowanej klatki, po czym

opowiedziała, jak robiła to Marge.

– Kaptur otwiera się etapami. Rozwiążcie pierwszy supeł, połóżcie węża w klatce, ale trzymajcie sznurek, zamknijcie drzwiczki i pociągnijcie za sznurek, a kaptur spadnie. – Z powątpiewaniem popatrzyła na węża zwisającego bezwładnie w rękach Jess. – On żyje?

– Jak nie, to jestem pewna, że doktor Oaklander na ochotnika podejmie się reanimacji. On jest bardzo odważny. Dobra, wypuszczamy.

Położyła gada na wygrzonym w słońcu kamieniu, zgodnie z instrukcją Dianne rozwiązała pierwszy węzeł, po czym pospiesznie się wycofała. Zamknęła drzwiczki i pociągnęła za sznurek. Kaptur spadł.

Wąż poruszył się ostrożnie, rozejrzał, po czym powoli wśliznął się w wydrążony pień tak, że w mroku widoczne były jedynie jego oczy.

– Wyjdzie z tego – orzekła Dianne. – Marge stale powtarza... – Zawahała się. – Marge zawsze mówiła, że jak o własnych siłach się tam schowają, to mają dziewięćdziesiąt procent szansy.

– Wyjdzie z tego – powtórzyła Jess przez ściśnięte gardło. – Doktor Oaklander genialnie operuje węże.

– To moja specjalność – przyznał skromnie Ben. – Ale to nic w porównaniu z tym, jak doktor McPherson bezbłędnie je chwytą.

– Taa... rozjechane, ledwie żywe węże łapię z zamkniętymi oczami.

– Nieważne – podsumowała Dianne. – Tworzycie wspaniały zespół.

A gdzie wasz chłopiec?

Aha, uważa nas za parę, pomyślała Jess. Mimo że zostało to już wyjaśnione, mężczyzna, kobieta plus dziecko równa się rodzinie.

– Mój syn został w hotelu – wyjaśniła. – Być może przyjdę z nim, jak Slash wyzdrowieje.

– Slash? – Dianne zerknęła w stronę węża, – imię.

– Co z nim zrobicie, jak się wygoi? – zapytał Ben.
– Wypuścimy go. Tam, gdzie go znaleźliście. One nie są agresywne i tu jest ich miejsce w większym stopniu niż nasze. Co jeszcze was tu sprowadza?

– Przyszliśmy się dowiedzieć, jak sobie radzicie.

– Troskliwy i nieoceniony – mruknęła Dianne. – W porządku, pomalutku. Ale...

– Ale co? – zapytał cicho Ben, a Jess przyłapała się na tym, że patrzy na niego z podziwem. Taka delikatność...

– Jutro wraca córka Marge. Chciałyśmy Marge pochować tutaj, ale córka chce w Brisbane, bo tak jest łatwiej dla rodziny. Pogrzeb ma się odbyć w wigilię w południe. Ale to za późno, żebyśmy z Sally tu wróciły, bo nie będzie już promu. Zwierzęta nie mogą zostać bez opieki. – Westchnęła. – Będziemy zmuszone zostać. Ale byliśmy z Marge przez dwadzieścia lat i nie wypada się nie pożegnać... – Pociągnęła nosem.

Jess poczuła ucisk w gardle.

– Jest tylko jedno wyjście – rzuciła bez namysłu. – Nie obiecuję cudów, ale zrobię, co potrafię. Pokażecie mi i Dusty'emu, co trzeba zrobić, a my przez święta się nimi zajmiemy.

– Jak to...?

– Zrobimy to z przyjemnością.

– Tu jest prawie czterdzieści zwierzątek. Trzeba je nakarmić...

– Dusty mi pomoże.

– Nie macie wprawy. To wam zajmie cały dzień...

– Na mnie też możecie liczyć – wtrącił Ben. – Nie bardzo wiedziałem, co zrobić ze świętami...

Oto zgodził się spędzić Boże Narodzenie w towarzystwie

czterdziestu chorych zwierzaków, ciężarnej suki, małego chłopca i jednej kobiety. Kobiety o imieniu Jess. Żadnych kobiet, zaklinał się jeszcze tydzień temu.

Wracali w milczeniu tą samą ścieżką, uważając na węże. Szła obok niego w czerwonym bikini, lekko połamanym kapeluszu, w jego koszuli bez rękawa. Miała umorusaną twarz i sprawiała wrażenie szczęśliwej.

– Czy to nie cudowne? – Zatrzymała się z szeroko rozpostartymi ramionami. – Uratowaliśmy węża.

– Żeby mógł kogoś ukąsić.

Roześmiała się.

– Owszem. Muszę opowiedzieć o tym Dusty’emu.

– Czy tak samo się cieszysz po bezproblemowym porodzie?

– Tak! Jasne.

Wyobraził sobie, jak Jess w sali porodowej tańczy z radości, gdy dziecko się już urodzi, gdy wszystkie profesjonalne potrzeby zostaną zaspokojone.

Nate porzucił taką kobietę?

– Zanocujemy tu z Dustym – powiedziała, poważniejąc. – Tylko dwa maluchy do nakarmienia, poradzę sobie. Gdybyś mógł przyjść jutro, żeby pomóc...

– Też tu zanocuję.

– Nie ma takiej potrzeby.

– A jak... jak Slash dostanie gorączki?

– Po czym poznasz, że zimnokrwisty wąż ma gorączkę? – Ściągnęła brwi. – Gorączkujący wąż. Chyba muszę szybko uzupełnić swoją wiedzę.

– Zdaje się, że oboje powinniśmy się podszkolić. – Dotknął jej ręki, ledwie ją musnął.

Jess przystanęła.

– Sama to zrobię. – Nagle chodziło o coś więcej. – Nie potrzebuję pomocy.

– Ale ja chciałbym pomóc.

Opuściła wzrok na ich ręce, po czym się odsunęła.

– Gdybyś nie był bratem Nate’a, to może...

Chyba pomyślała o tym samym co on. Że coś ich łączy, coś niedostrzegalnego. Coś, z czego wcześniej oboje nie zdawali sobie sprawy, bo jej spojrzenie nagle stało się czujne. Boi się?

Oboje czuli, że nie było to zwyczajne muśnięcie.

Żadnych więzów, żadnych zobowiązań, to jego mantra. Do dnia, w którym poznał Jess.

– Nie jestem Nate’em.

– Ale jesteś Oaklanderem.

– Masz mi to za złe?

– Nikomu nie mam niczego za złe. Nie w głowie mi romanse.

– Kto tu mówi o romansie?

– Nikt. Mam nadzieję, że źle to zrozumiałam, przepraszam. Już tak dawno... Nie, przepraszam. Idiotyczna rozmowa. Nie ciągnijmy jej. Jesteś wujkiem Dusty’ego i jest super. Przez święta będę mieszkała w schronisku. Dusty będzie szczęśliwy. Jak w ciągu dnia zechcesz nam pomóc, proszę bardzo. Dusty będzie miał okazję lepiej cię poznać.

– A ty?

– Ja już cię znam – szepnęła. – I to mi wystarczy. Więcej byłoby straszne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie wolno mu jej pragnąć.

Jednak im dłużej o niej myślał, tym dobitniej czuł, że tego nie zmieni.

Przeżycia związane z rodzinną tragedią oraz utratą Nate'a utrwaliły w nim przekonanie, że od trwałych związków musi się trzymać z daleka.

To nie dla niego, ale słowa Jess zabrzmiały jak wyzwanie.

Jess nie zniknie.

Obserwował ją w trakcie różnych spotkań i warsztatów – elegancką, skupioną i uważną. Parę razy udało mu się ją przyłapać na studiowaniu programu oraz na podjęciu decyzji, że z któregoś punktu może zrezygnować.

Sam też czasami szedł na waggary. Na plażę, gdzie spotykał inną Jess. Miała dwa kostiumy plażowe, czerwony oraz turkusowy w srebrne gwiazdki.

Nie mógł się zdecydować, która Jess podoba mu się bardziej. Ale gdy wymykała się z audytorium, a jej włosy wymykały się z grzecznego koczka, nie miał trudność z wyborem.

Mimo to utrzymywał dystans.

Nie utrudniała mu kontaktów z Dustym. Jak tylko do nich się zbliżał, witała go promiennie, zapraszała do wspólnej zabawy, ale kilka minut później zostawiała ich samych.

– Mam jeszcze coś do poczytania. Skoro jesteś ty oraz Kathy, jestem tu całkiem zbędna.

W jej oczach jest bratem człowieka, który haniebnie ją potraktował.

Jest w stanie się z tego otrząsnąć?

Zależy mu na tym?

Tak.

Pragnie jej, bo jest nieosiągalna? Czy dlatego, że jest matką dziecka podobnego do Nate'a?

Im lepiej ją poznawał, im dłużej ją z boku obserwował, tym bardziej nabierał przeświadczenia, że przyczyna jest inna.

Nadszedł dzień końca sympozjum, a wraz z nim uroczysta pożegnalna kolacja.

Do Bożego Narodzenia pozostały jeszcze dwa dni, więc w hotelu już panował świąteczny nastrój. „Czerwone akcenty mile widziane”, głosiło hasło na konferencyjnej ulotce, więc prawie wszyscy mężczyźni do smokingu dodali czerwoną muszkę.

Kobiety... a zwłaszcza ta jedna...

Gdy Jess weszła do sali, Ben wstrzymał oddech.

Na tę okazję wybrała pasową suknię do pół łydki dyskretnie połyskującą srebrną nitką, która idealnie podkreślała jej doskonałą figurę. Niby długa, ale z pęknięciem z boku obnażającym opalone udo. W uszach miała kolczyki w kształcie miniaturowych świętych mikołajów, a na stopach pasowe szpilki.

Mężczyzna, z którym Ben akurat rozmawiał, urwał w pół zdania.

– Wow! Gdzie ona była? Dlaczego dopiero teraz ją widzę? Przepraszam. – Oddalił się pospiesznie.

Nie on jeden ruszył do akcji.

– Na czas kolacji Benowi przypadało miejsce przy stole głównym, obok profesora Hildebranda, położnika o światowej renomie, a zarazem przyjaciela Bena. Ben przedstawił mu swój plan. Profesor powiódł

wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Gdybym był czterdzieści lat młodszy i gdyby obok mnie nie siedziała moja żona, sprzątnąłbym ci ją sprzed nosa, ale skoro nie ja... Bierz się do roboty, chłopcze. Z całego serca życzę ci powodzenia.

Zaproszono do stołu. Obok Jess z chytrym uśmiechem na twarzy zasiadł młody ginekolog z Auckland, ale chwilę później Ben delikatnie poklepał go po ramieniu.

– Doktorze Ross, profesor Hildebrand życzy sobie ten wieczór spędzić w pana towarzystwie. Interesuje go pewna propozycja badawcza. Poprosił mnie, byśmy zamienili się miejscami.

Młody lekarz rzucił Benowi podejrzliwe spojrzenie. W pełni uzasadnione. Potem przeniósł wzrok na zaskoczoną Jess, a na koniec w stronę profesora Hildebranda. Światowej sławy położnik z promiennym uśmiechem gestem zapraszał go do siebie. Ross się poddał.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – syknęła Jess.
– Jestem bezwzględny. Z tego słyną Oaklanderowie.
– Idź sobie.
– Nie ma wolnych miejsc. – Sięgnął po menu. – Do wyboru kurczak albo wołowina. Zamienimy się, jak dostaniesz wołowinę?
– Nie!
– Twarda z ciebie zawodniczka.
– Bo muszę się bronić.
– Okej. – Westchnął. – Skoro muszę zjeść kurczaka, żeby sprawić ci przyjemność, to niech tak będzie.

Speszyła się.

– Dlaczego?
– Co dlaczego?

– Dlaczego miałbyś chcieć sprawiać mi przyjemność?

Czas spoważnieć? Przestał się uśmiechać.

– Nie wiem. Ale chyba muszę.

– Za nic nie musisz mi się odwdzięczać – prychnęła.

– Jess, nie w tym rzecz. Liczy się to, co czuję. Czy ty wiesz, że jesteś piękna?

– Nate mi to mówił. – Ostentacyjnie wróciła do lektury menu.

To ten jej pancerz, pomyślał, nie poddając się. Taki pancerz jest zbyt ciężki, by się nim otaczać na wieki.

– Zupa czy *pate*? – zapytał. – Kurczak czy wołowina? Mus czekoladowy czy tarta cytrynowa? Chętnie się zamienię.

– Przestań.

– Karzesz mnie za grzechy mojego brata?

– Nie interesują mnie żadne związki. Z tobą ani z nikim innym. Nie karzę cię za grzechy Nate'a. Tobie też nie mam nic za złe. Po prostu nie jestem zainteresowana.

– Jess...

– Muszę się zastanowić, co wybrać.

– To łatwe.

– Nie, wcale nie łatwe, bardzo skomplikowane. Wymaga skupienia.

Mimo że rozmową na tematy zawodowe zabawiał go sąsiad z drugiej strony, Ben przez cały czas zastanawiał się nad wyborem dań. Co by wybrał? A może co by zmienił.

Jess.

Musi się skoncentrować. Zupa czy *pate*. Wołowina czy kurczak. Mus czy tarta. Jess jadła, co jej podano, nie zwracając na niego uwagi. Siedziała sztywno wyprostowana. Bariera.

– Mus ci nie smakował – zauważył, gdy zbierano talerze, a w raz z nimi odjechała połowa jej musu.

– Bardziej lubię smak cytrynowy.

– Mogłaś się ze mną zamienić.

– Lubię być niezależna.

Muzyka towarzyszyła im od początku posiłku, ale teraz zespół zagrał głośniej.

– Zatańczmy.

– Muszę wracać do Dusty’ego, bo Kathy na pewno jest zmęczona.

– Jak ją teraz zwolnisz, to do końca zmiany będzie wykonywać polecenia recepcji – zauważył.

– Ja nie...

– Nie musisz się martwić o Kathy, a się o nią martwisz. To kolejna rzecz, którą w tobie lubię.

– Ben... – Zaczerwieniła się.

– Lubię – powtórzył z naciskiem. – Teraz chciałbym zatańczyć, a ty?

Chciała. Widział jej reakcję, gdy zaczęła grać orkiestra. Zrelaksowała się. Domyślił się też, że nie miała wielu takich okazji.

Wstał i podał jej rękę.

– Co ci szkodzi zatańczyć z wujkiem twojego syna? Praktycznie jesteśmy rodziną. Jess, jeden taniec z wujkiem Benem.

– Nie wyglądasz jak wujek Ben... – westchnęła.

– Wolałabyś, żebym miał brzuch i zionął whisky? Bo ja tak wspominam wujków.

– Przynajmniej bym wiedziała, co z tobą robić.

– Wiesz, co ze mną robić. Czuję, że potrafisz tańczyć i

podejrzewam, że będę w twoich rękach miękki jak wosk. Wystarczy, że mi zaufasz.

– Niemało żądasz.

– Owszem, niemało, ale to proste. Daj się zaprowadzić na parkiet.

Nie powinna była na to przystać.

Spodziewała się rytmów dyskotekowych, kiedy partnerów dzieli spora odległość, a tu jakiś idiotyczny staroświecki walc. Lata temu uprawiała taniec towarzyski. Pierwsze nauki pobierała od rodziców, miłośników tańca.

Po śmierci ojca, kiedy londyńska szarość stała się trudna do zniesienia, matka zaproponowała, by spróbowały znowu tańczyć. I tak zaczęły raz w tygodniu chodzić do obdrapanej sali balowej, gdzie lekcji tańca udzielała niejaka Gloria Baker. Sprawiało im to ogromną przyjemność.

Matka już wtedy cierpiała na artretyzm, więc wybierała tylko wolne tańce, przez resztę czasu przyglądała się, promieniejąc szczęściem.

Jak można nie kochać tańca?

Ben Oaklander okazał się świetnym partnerem. Już po kilku krokach Jess poddała się jego prowadzeniu.

Tak prowadziła tylko Gloria.

Może to niebezpieczne i ryzykowne, pomyślała, ale raz w życiu warto coś takiego przeżyć.

Prowadził ją bez najmniejszego wysiłku, a ona żadnemu innemu partnerowi nie poddałaby się z taką łatwością, z taką... ufnością.

No, poza Glorią, ale Gloria nie wchodziła w rachubę.

Zapomniała o Glorii, zapomniała o innych parach. Czuła jedynie jego ciało, czuła, że spada... spada...

Że stają się jedną.

Było to jak seks, ale o wiele lepsze...

Kiedyś na lekcji tańca ktoś powiedział: „Po co komu seks, jak jest taniec?”.

Muzyka ucichła, ludzie zaczęli klaskać, a ona się zaczerwieniła. Nie dlatego, że było jej gorąco.

Potem przyszła kolej na rock and rolla z lat 60.

To, na szczęście, nie wymagało kontaktu fizycznego.

Ben sprawdził się i tym razem. Nawet Gloria Baker nie potrafiła tak tańczyć rock and rolla.

Pierwszy raz w życiu zrozumiała, co to znaczy dostać skrzydeł, pierwszy raz w życiu czuła taki przyływ energii.

Poruszali się jak para, która razem tańczy od lat. Miała wrażenie, że zna Bena od dawna, że on jest częścią jej, a ona jego.

Taniec to co innego niż proza życia, wmawiała sobie w chwilach, gdy wracała jej jasność myślenia.

Może to nie to samo, ale nie można mu się oprzeć. Poddała się talentowi Bena, ruchom jego ciała, jemu...

Ostatni taniec dobiegł końca.

Drzwi za ich plecami były szeroko otwarte, zasłony powiewały lekko poruszane ciepłym wiatrem od oceanu, fale cicho szumiały... Ben tanecznym krokiem wyprowadził ją na taras, a potem... pocałował.

To była nieuchronna kulminacja tego tańca, seksualnego podniecenia. I towarzyszące jej przeświadczenie, że coś, co kiedyś pękło, teraz w cudowny sposób znowu się połączyło.

Za taki pocałunek warto oddać życie.

Już prawie zapomniała, kiedy ją całowano. Ale teraz tego pragnęła.

Jak mogło być inaczej? Tańczyła w ramionach Bena. Zapomniała już, jak jest być całowaną przez mężczyznę.

Jakiegokolwiek?

Może ważne jest to, że całuje ją Ben.

Ten właśnie mężczyzna, nie żaden inny.

Czuła, że kapituluje.

Że już nie jest doktor McPherson, a kimś całkiem innym.

Kobietą kochaną przez Bena?

Jego kobietą?

Pożerał ją wzrokiem, a jego wargi doprowadzały ją do utraty zmysłów...

To nie był zwyczajny pocałunek, to nie był zwyczajny taniec. To była kwintesencja namiętności.

Nagle Ben lekko się cofnął, a na jego ramieniu pojawiła się czyjaś ręka. Za nim stał profesor Hildenbrand.

– Przepraszam, że przeszkadzam – przemówił profesor, uśmiechając się jak stary skrzat czarodziej. – Zawsze mnie cieszy, jak jakiś plan wypali. Ale chcieliśmy się pożegnać. Opuszczamy wyspę o świcie i lecimy do Anglii, żeby zdążyć na święta. Dobrej nocy i do zobaczenia. – Uśmiechnął się do Jess. – Życzę powodzenia.

– Myślę, że te życzenia już się ziściły – odparł Ben, dalej obejmując Jess.

– I tak trzymać – przykazał im profesor. – Dobranoc, pani doktor. Cieszę się, że panią poznałem. Moja żona skontaktuje się z panią e – mailem. Zdaje się, że chodzi jej o szczeniaka od Pokey. Chciała o tym porozmawiać przy kolacji, ale była pani... zajęta. – Pozdrowił ich uśmiechem, ucisnął Benowi dłoń, po czym się oddalił.

Zostawiając ją z Benem.

Od czego zacząć?

Przez jakiś czas milczeli, bo tyle już zostało powiedziane albo niepowiedziane, że musieli ochłonać.

Ben chciał wziąć ją za rękę, ale się odsunęła. Stopniowo odzyskiwała jasność myślenia, z którą jednak wracał... strach.

– Gdzie się nauczyłeś tak tańczyć? – wykrztusiła, żeby zyskać na czasie.

– Moja niania uwielbiała tańczyć. Matka mało się mną interesowała. Razem z narzeczoną rzadko przebywała w Australii. Po lekcjach opiekowała się mną Doreen, pozornie tak zasadnicza jak moja matka, ale tak naprawdę to miała złote serce. Roztańczone złote serce. Pewnego razu nakryła mnie, jak zalewałem się łzami z tęsknoty za bratem. Nastawiła wtedy Buddy'ego Holly i nauczyła mnie tańczyć rock and rolla. Powiedziała, i dalej w to wierzę, że gdy głowa musi połączyć się z nogami, na nic innego nie ma w niej miejsca. Człowiek jest tak wyczerpany, że od razu zasypia. Genialny lek.

– To Doreen była genialna.

– A ciebie kto uczył?

– Rodzice. Pamiętam, jak tańczyliśmy we troje. Stawałam wtedy tacie na stopach, między nim i mamą.

– Twoje wspomnienie ładniejsze.

– Nadal widzisz się z Doreen?

– Tak, jestem ojcem chrzestnym jej wnuczka.

– To miłe.

– Ona jest taka jak ty.

– Ben... – W jej głowie ponownie rozbrzmiały dzwonki alarmowe,

bo Ben spoglądał na nią tak...

– Jess, nie sądziłem, że kiedykolwiek poczuję coś takiego.

– Ja nie...

– Ty tego nie czujesz?

– Nie chcę czuć. – Odetchnęła głęboko. – Nosisz nazwisko Oaklander.

– Jesteś kobietą, a ja jeszcze tydzień temu nie chciałem mieć z wami nic wspólnego.

– Tydzień temu... – Zesztywniała. – Tydzień temu z kimś zerwałeś? Widziała to w jego oczach.

Kiedyś całym sercem i duszą pokochała Oaklandera. Niczego jej to nie nauczyło?

– Ben... muszę iść. – Nie potrafiła opanować strachu.

– Nie jestem moim bratem.

Nie był, ale rzeczywistość pokazała pazury. Rozsądek musi zwyciężyć.

– Tego nie powiedziałam. – Dobrze wiedziała, że jest inny, ale czuła, że w jego obecności staje się... nieobliczalna. Jakby marzyła tylko o tym, żeby złożyć swoje życie w jego ręce.

Idiotyzm. Jest dorosła, ma zawód oraz dziesięcioletnie dziecko, wie, czego chce od życia. Nie, Ben to nie Nate. Dotarły do niej przyczyny, dla których Ben jest taki, jaki jest, oraz to, co sprawiło, że Nate był taki, a nie inny. Nate porzucony przez matkę i starszego brata.

Współczuła obu, jednocześnie zdając sobie sprawę, że obaj stanowią zagrożenie dla niej i dla Dusty'ego.

– Rano przeprowadzamy się do azylu. – Starła się mówić jak najspokojniej. – Czeka nas pracowite Boże Narodzenie. Dusty się ucieszy,

jak nas odwiedzisz.

– Przecież powiedziałem...

– Ben, zrozum, nie chcę takiej bliskości.

– Jess...

– Nie!

– Jess, ty i ja...

– Nie ma nic takiego jak ty i ja – powiedziała stanowczym tonem. – Tańczysz jak anioł, a przynajmniej jak mój tata, z wielką wprawą zszywasz węże, potrafisz rozbawić mojego syna. Będiesz wspaniałym wujkiem Dusty’ego, ale na tym koniec.

– Nawet jeżeli oboje...?

– Czego pragnęła dziewczyna, z którą zerwałeś tydzień temu? Uczucia? Małżeństwa? Rodziny?

– To nieistotne.

– Bo już przestałeś o niej myśleć – powiedziała ze smutkiem. – Ty tak robisz. I ja też.

Niespiesznym krokiem wracała do bungalowu. Zeszła na plażę, gdzie w świetle księżyca przechadzali się delegaci. Rano się spakują i wrócą do normalnego życia, a na razie cieszą się chwilą.

Mężowie i żony, albo nie. Ludzie z różnych stron świata oddający się urlopowym namiętnościom.

Nie dołączy do nich. Przez to że padła Benowi w ramiona, ma za dużo do stracenia,

W jego objęciach czuła, że zsuwa się w otchłań bez dna. Domyślała się, co jest na dole. Nate i chaos.

Nie, nie Nate.

Ben.

Odwróciła się, by popatrzeć na jego bungalow. Stał na werandzie.

Jeden jej gest, a do niej podejdzie.

Albo ona do niego. Do północy przy Dustym będzie Kathy.

Rozsądek jednak wziął górę.

Raźnym krokiem ruszyła do swojego bungalowu. Tam czeka na nią
Dusty.

Widział, jak Jess się oddala, i starał się wymyślić, co zrobić.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że dopadnie go takie uczucie.

„Nigdy” odeszło do historii.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Długo nie mogła wyrwać się z transu, ale przekroczywszy próg domu, oprzytomniała błyskawicznie. Kathy płakała.

Siedziała przy kuchennym stole i łkała, oparłszy głowę na dłoniach.

Mimo woli Jess zajrzała do sypialni synka. Dusty i Pokey spali.

W jego świecie wszystko było w porządku.

Ale nie w świecie Kathy.

Gdy Jess położyła jej rękę na ramieniu, podniosła na nią zaczerwienione oczy. Wstała ciężko z krzesła.

– Przepraszam... Nie powinnam... Już dobrze, już wychodzę. Dusty był bardzo grzeczny. Poszedł spać godzinę temu. Ja... Dobranoc. – Ruszyła do drzwi, ale na drodze stanął jej Ben.

– Możemy ci jakoś pomóc? – zapytał. Tak po prostu.

Jedno „Możemy ci jakoś pomóc?” sprawiło, że strach zniknął z twarzy dziewczyny, pozostawiając jedynie smutek.

– Muszę odejść.

– Jak to? Opuścić wyspę?

– Zwolnili mnie – chlipnęła Kathy. – Kierownik hotelu zadzwonił do mnie przed końcem zmiany. Powiedział...

– Co takiego powiedział? – zapytał łagodnie Ben, uprzedzając atak hysterii.

– Ta pani, która była z dziećmi na plaży – wyjąkała Kathy – pani Holland... jest położną i powiedziała kierownikowi, że to niemożliwe, żebym miała urodzić dopiero za siedem tygodni. Chciała dobrze... Widziała, jak podnosiłam czyjaś walizkę i ostrzegła go, że mogę sobie

zrobić krzywdę. Więc kierownik przestraszył się konsekwencji prawnych i zażądał, żebym wyjechała. Natychmiast. Ale ja nie mogę.

– Dlaczego nie możesz?

– Bo Mike jest w Weipa, a ja nie chcę być sama w święta.

– Aha. – Posadził ją z powrotem na krzesło, po czym usiadł przed nią, ujął ją za ręce i spojrzał w oczy. – Mike jest ojcem twojego dziecka?

Gdyby Ben powiedział „mąż” albo „chłopak”, mogłoby to do niej nie dotrzeć, ale „ojciec twojego dziecka” uświadomił jej, że tu chodzi o dziecko.

– T... tak.

– To co on robi w Weipa, jak jego dziecko jest tutaj?

Tematem w dalszym ciągu było dziecko.

Kathy zalała się łzami.

– Zrobić ci herbaty? – zapytała Jess, włączając czajnik.

Zasada numer jeden: sprawić, by sytuacja wyglądała jak najnormalniej.

Kathy milczała, podczas gdy Jess wyjmowała kubki, dzwoniła łyżeczkami, wsypywała herbatę do czajniczka.

Wymienili z Benem spojrzenia. On wiedział, co ona robi, a ona, co on.

Ma być normalnie.

– Gdzie jest Weipa? – zainteresowała się Jess.

– Na samej północy Australii. To miasteczko górnicze pełne facetów, którzy pracują tam dla zarobku. Kathy, on zarabia na dziecko?

– T... tak.

– Za kasę, jaką się tam dostaje, można kupić furę szmatek dla dziecka. Kiedy on tu przyjedzie?

– Po świętach. Nic nam nie wyszło – chlipnęła. – Mieliśmy się pobrać podczas urlopu Mike’a, ale za późno się zgłosiliśmy, były też problemy z moim paszportem. Ale już złożyliśmy wszystkie papiery. Dwudziestego dziewiątego grudnia na wyspie ma się odbyć ślub kogoś ważnego i ten ksiądz zgodził się również nam udzielić ślubu.

– Fantastycznie – ucieszył się Ben. – Będzie ślub, ale wrócimy do dziecka.

Rzeczowy ton Bena sprawił, że dziewczyna stopniowo się uspokajała. Jess podała jej paczkę chusteczek.

– Więc kiedy ono ma się urodzić? – zapytała.

– Piątego stycznia – odpowiedziała Kathy nieco wyzywającym tonem. – Trochę... kłamałam. Moja mama mówi, że pierwsze dziecko zawsze się spóźnia. Ale my już wtedy będziemy na stałym lądzie.

– Czy twoja mama wie o tej ciąży?

– Nie.

– A ktoś inny z rodziny?

Jess postawiła przed nią talerzyk z herbatnikami.

– Chciałam wziąć ślub, zanim im powiem. I tak będzie. Mike zesłoroczne święta spędzał w Dublinie. Podobał mi się, zaprosił mnie tutaj, więc przyleciałam i dalej mi się podobał. Kocha mnie i chce się ze mną ożenić. Ale musiał wracać do Weipa. – Wytarła nos. – Powiedział, że jeżeli wytrzyma do końca kontraktu, stać nas będzie na zaliczkę na dom. A gdybym i ja pracowała, to bylibyśmy urzędzeni. Ale w Weipa nie ma dla mnie pracy. Nie chciał też, żebym pracowała w ciąży. Mimo to zatrudniłam się tutaj. Przez święta Mike’owi płacą potrójną stawkę, więc pomyśleliśmy, że... możemy, po raz ostatni, spędzić święta osobno, bo warto. Ale święta są już, a ja... ja nie chcę być sama.

Ben posłodził jej herbatę, po czym wsunął jej kubek do ręki.

– Czy Mike wie, że dziecko urodzi się lada moment?

– Nie całkiem... bo... sama nie byłam pewna. Wyliczyłam, że to będzie luty. Ale... czułam się taka zmęczona, że jak miałam ostatnio kilka wolnych dni, popłynęłam na stały ląd do lekarza.

– Byłaś u lekarza?

– Raz – przyznała Kathy. – Ta lekarka powiedziała, że moje wyliczenia są błędne. Że pomyliłam się o miesiąc. Według niej... to początek stycznia.

– Zrobiono ci USG?

– Nie. Chciała mnie wysłać na USG, ale ja musiałam wracać na wyspę, bo miałam nocny dyżur. Myślałam, myślałam...

To jest przestraszone dziecko, pomyślała Jess. Gdy ona była w ciąży, miała przynajmniej matkę, a Kathy jest całkiem sama.

– Poradzę sobie – szepnęła Kathy. – Kiedy kierownik powiedział, że mnie zwalnia, bardzo się przejęłam, ale już mi przeszło. Wszystkie rejsy z Weipa są już zabukowane, nawet gdybym chciała, żeby Mike tu przyleciał, ale nie chcę. Przeniosę się do schroniska dla turystów, dopóki nie przyleci. Ale... Sama w święta... jeszcze nigdy...

– Nie możesz być sama w święta – stwierdził Ben.

– Kierownik mówi, że muszę, że on nie weźmie na siebie takiej odpowiedzialności.

– Nie musi. – Ben wzruszył ramionami. – Jess i ja też nie spędzamy świąt w hotelu. Będziemy w azylu dla zwierząt, bo Dianne i Sally wyjadą, więc będą tam wolne łóżka. Oboje jesteśmy położnikami. Jednak najpierw muszę się upewnić, jaki jest stan dziecka. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poproszę przedstawicielkę firmy produkującej skanery, żeby mnie

albo Jess pozwoli cię zbadać, zanim się spakują. Jeśli wszystko będzie okej, mogłabyś spędzić święta z Jess, Dustym, Pokey i ze mną, co ty na to?

Jess była tak wstrząśnięta, że nie zaprotestowała.

Kathy wróciła do hotelu w pogodnym nastroju, a Ben zatelefonował do Elizabeth Morey, która miała u niego dług wdzięczności.

– Zbierają się jutro koło jedenastej – poinformował Jess. – Po takiej reklamie, jaką Pokey i ja im zrobiliśmy, jest skłonna obiecać mi wszystko. Jedno badanie o ósmej rano to pikuś.

– Pikuś... – sapnęła Jess. – Odbieranie porodu w schronisku dla zwierząt...

– Dopiero w styczniu. Mamuśka ma rację. Pierwsze dziecko rzadko się spieszy..

– Ale ona jest zmęczona, pracuje fizycznie, a dziecko jest naprawdę nisko.

Uśmiechnął się.

– Chcesz powiedzieć, że we dwoje nie poradzimy sobie z jednym porodem?

– Nie będziesz przez cały czas w schronisku.

– Będę. To jest oczywiste od samego początku, tylko ty nie chcesz przyjąć tego do wiadomości.

– Bo nie chcę, żebyś tam był.

– Dlaczego?

– Bo się boję. – Nareszcie postawiła sprawę jasno.

– Ja cię nie skrzywdzę – powiedział po dłuższej chwili.

– Wiem. – Odgarnęła włosy z policzka. – To głupie... to, co czuję...

– Dzielił ich stół. Potrzebowali, by coś ich dzieliło.

- Chyba czuję się tak samo... Jak porażony piorunem.
- Tydzień temu spotykałeś się z inną – wytknęła mu.
- Tydzień temu byłem przekonany, że nie ma takiej kobiety, z którą bym chciał spędzić resztę życia.

Milczeli długą chwilę, oboje nie wiedząc, jak się zachować.

Trzeba położyć temu kres, pomyślała.

- Nie jestem zainteresowana.
- Kłamczucha.
- Twój brat o mało nie zrujnował mi życia.
- Myślisz, że ja ci je zrujnuję?
- Nie, ale... – Przeszkadza jej ten kosmyk włosów, czy przeszkadza jej wszystko? – Nie potrafię oddzielić tego, co czułam do niego, od tego, co czuję do ciebie. Jesteś do niego podobny, jesteś podobny do mojego syna. I mówisz... mówisz...
 - Że jestem tak samo skołowany jak ty. Spotkałem cię i po tygodniu pokochałem. Moim zdaniem to niedorzeczne.
 - Niedorzeczne, bo nie ma sensu. Niemożliwe. Po prostu spotkałeś chłopca, który przypomina ci brata, którego straciłeś. Spotkałeś mnie, a ja byłam kochanką twojego brata...
 - Ani przez chwilę nie myślałem o tobie jak o jego kochance.
 - Nieważne, co ty myślisz, ja nią byłam. – Zorientowała się, że drży. – Ilekroć zobaczysz Dusty’ego... Czy to może być fundamentem związku? Czy to, co do mnie czujesz, można oddzielić od Nate’a? Czy kiedykolwiek będę mogła mieć pewność, że nim nie jesteś?
 - Nie jestem.
 - Trudno mi to sobie wyobrazić – powiedziała. – Ben, proszę, daj temu spokój.

- Nie porzucę Dusty’ego.
- Wiem.
- I w święta będę mieszkał w azylu.
- W porządku – odparła zmęczonym głosem.

Oto stoi przed nią mężczyzna, który jej pragnie. Jak łatwo byłoby zrobić krok w jego stronę.

Ale on jeszcze siedem dni temu był z inną i jest bratem Nate’a.

Kiedyś pozwoliła, by serce wzięło górę nad rozumem...

Nie, nie i nie.

– Ben, dobranoc. – Oparła się ciężko o kuchenny blat. – Przepraszam, że z tobą tańczyłam i cię całowałam. – Zawahała się. – Pozwoliłam sobie wtedy być taką samą dziewczyną jak wtedy, gdy poznałam Nate’a: naiwną, romantyczną i nieostrożną. Ale już taka nie jestem.

– Wiem. – Jego uśmiech był niczym pieszczota. – Na pewno nie jesteś naiwna ani nieostrożna, ale chyba nadal trochę romantyczna.

– To się więcej po mnie nie pokaże. Ben, dobranoc. Wyszło na to, że spędzimy razem te święta, ale potem... Mieszkamy na dwóch przeciwległych końcach świata. I niech tak zostanie.

Miał szczerą ochotę zamordować brata, ale Nate już nie żył.

Sporo złożyło się na to, jak Nate się zmienił. Po rozwodzie rodziców Ben znalazł się po lepszej stronie.

W wieku jedenastu lat już zaczął się buntować przeciwko despotycznemu ojcu. Raz nawet, gdy ojciec uderzył matkę, rzucił się na niego z pięściami. Przyplącił to zwichniętym barkiem, ale po rozwodzie wymknął się toksycznemu rodzicowi. Miał kilka bardzo sympatycznych niań.

Nate został z ojcem. Kiedy po latach nawiązał z nim kontakt, spotkał się z niewyobrażalnym wybuchem gniewu. Nate również jemu zarzucił dezercję. Tak, można było Nate'a tłumaczyć, ale on o mało nie zniszczył Jess. Jak mógł skrzywdzić tak piękną istotę? Jak mógł odciąć ją od rodziny? Jess najpierw poznała Nate'a, potem ich ojca, więc jakim cudem miałyby zaufać jemu?

Dlaczego tak mu na tym zależy?

Tydzień temu przysięgał, że ma dosyć kobiet, że nawet nie myśli o założeniu rodziny. Ale czuł, że ona jest jego rodziną, i to nie z powodu Dusty'ego.

Więc co to jest? Co sprawia, że czuje...? Co on właściwie czuje?! Ujęła go jej reakcja przy łóżku umierającej Marge i na widok półtorametrowego rannego węża, kiedy był świadkiem jej determinacji, by go ratować, zamiast pozwolić mu zdechnąć. Ujęła go jej inteligencja, to, jak odnosi się do kolegów po fachu, błysk zainteresowania i entuzjazmu w jej oczach.

Ciepło jej ciała, gdy trzymał ją w ramionach. Ten pocałunek. To, jak przejmują się Kathy.

Nie chce, by zamieszkał w azylu. Boi się, to jasne. Ale jego uwadze nie uszła jej akceptacja, świadomość, że znalazła się w potrzasku. Lepiej o tym nie myśleć. Nie pozostaje mu nic innego, jak rozgrywać tę partię na bieżąco.

USG Kathy wykazało, że dziecko jest zdrowe.

– Chcesz się dowiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka? – zapytał pod koniec badania.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

– Wolałabym, żeby Mike był przy tym, jak się dowiemy.

Lepiej, żeby Mike się pospieszył, pomyślał Ben.

Może powinien wysłać ją na stały ląd?

Ale będzie tam sama.

Rozważał ryzyko. Jedna z delegatek też zamierza spędzić święta na wyspie, a jej mąż jest pediatrą. W razie konieczności śmigłowiec doleci na wyspę w ciągu dwudziestu minut. W odwodzie jest pediatra oraz możliwość ewakuacji. Zatem ryzyko jest niewielkie.

Alternatywa? Kathy będzie sama...

Gdyby coś miało się wydarzyć w same święta, a ona byłaby sama w obcym mieście... Decyzja była jedna, bo gdy po badaniu otworzył drzwi, na korytarzu już czekała Jess, by przytulić Kathy, a obok podskakiwał Dusty z Pokey na rękach.

– Kathy, jesteś zdrowa? – dopytywał się. – Bo już czeka na nas Sally. Obiecała, że będzie jechała bardzo wolno.

Tak, dokonał słusznego wyboru.

Problem w tym, że nie mógł z nimi pojechać, bo czekało go jeszcze spotkanie z przedstawicielami ministerstwa zdrowia. Jego tematem miała być walka z bólem w sytuacji porodu. To bardzo ważne spotkanie.

Ale jemu zależało tylko na tym, by być... ze swoją rodziną.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zanosiło się na wspaniałe święta. Może nawet przesadnie wspaniałe, pomyślała Jess, gdy jechali wyboistym szlakiem prowadzącym do schroniska. Ciężarna suka, ciężarna kobieta, czterdzieści zwierzaków.

Z niepokojem myślała o nich wszystkich. Oraz o Benie.

Sally w żółtym tempie wiozła swój ciężarny ładunek, a Jess przez cały czas rozmyślała o tym, że Ben przyjdzie wieczorem, a potem będą święta.

Ben.

Wróciło wspomnienie minionego wieczoru. Źle zrobiła, wycofując się?

Nie miała wyboru. Dobrze pamiętała pierwsze miesiące ciąży, wrażenie, że nad niczym nie panuje, obawy matki, że nie skończy studiów, pogardę Nate'a, koszmar udowadniania, że to on jest ojcem...

Z Benem byłoby inaczej.

Nie ma na to żadnej gwarancji.

– Och, jak bym chciał, żeby szczeniaczki były już dzisiaj – rozmarzył się Dusty, tuląc Pokey. – Szczeniaczki pod choinkę!

– Żadnych szczeniactków, dopóki nie będzie z nami doktora Oaklandera! – ofuknęła go Kathy.

Ona mu ufa, pomyślała Jess. Ufa, że pomoże jej urodzić na tym odludziu.

Ufność...

Kathy jest bardzo młoda, ale ona, Jess, wie swoje.

Dzięki temu, że przyjechali wcześniej, Jess mogła się zająć

organizowaniem miejsc do spania.

W budynku znajdowały się dwie sypialnie, Sally i Dianne. Była jeszcze trzecia, teraz pusta, ale nikt nie chciał jej zająć, bo pamięć Marge była jeszcze zbyt bolesna.

Dodatkowe dwa łóżka były w osobno stojącym domku, w którym zazwyczaj pomieszkiwali studenci prowadzący badania.

– Tobie należy się najwygodniejsze łóżko – zwróciła się do Kathy – więc weźmiesz pokój Sally, Ben pokój Dianne, a my z Dustym urządzimy się w domku.

Na razie wszystko jest w porządku, pomyślała, pomagając Sally i Dianne się spakować. Zajmij się czymś, trzymaj się z daleka od Bena. Jutro Wigilia, pojutrze Boże Narodzenie, a potem wyjeżdżacie.

Dianne i Sally do ostatniej chwili zasypywały ich informacjami, a gdy już odjechały, Jess i Dusty zajęli się sprzątaniami klatek. Kathy „tylko na chwilę” przysiadła z Pokey na wystawionej na werandę kanapie i natychmiast zasnęła. Po południu przybył Ben, wrzucił plecak do przydzielonego mu pokoju, po czym pospieszył porządkować klatki w przeciwnym końcu schroniska.

Wszystko pod kontrolą.

Wieczorem przyszedł czas na karmienie zwierząt.

Także i tym razem pracowali na dwóch końcach azylu. Dusty towarzyszył Benowi.

Jego też omamił, pomyślała. Nieodparty czar Oaklanderów.

Ona się opiera.

Nakarmiwszy zwierzęta, zaczęła myśleć o kolacji.

– W lodówce jest jedzenie – poinformowała ją wcześniej Sally. – Nawet świąteczny indyk.

Faktycznie. W zamrażarce parówki, parówki, parówki, góra pokrojonego chleba oraz gigantyczny indyk, w lodówce twarde jak kamień pomidory i kilka przywiedłych główek sałaty, a w spiżarni dziesiątki kartonów z mlekiem.

Dlaczego o tym nie pomyślała? Jutro przeprawi się promem po świąteczne zakupy. Stawi czoło bożonarodzeniowemu szturmowi na sklepy.

Z rozrzewnieniem pomyślała o przygotowanym na tę sytuację hotelu.

Indyk to zdecydowanie za mało.

A na dzisiejszy wieczór?

– Parówki... – mruknęła, z wyrzutem spoglądając na lodówkę.

– Wcale nie. Rolada z wędzonego łososia, a potem makaron z sosem śmietanowo – grzybowym. – Ben stał w drzwiach. – Dalej podamy mus czekoladowy lub tartę cytrynową. Tak, wiem, deser został po konferencji, ale to bardzo oszczędne. Nie jestem gorszy od Scrooge'a. Proponuję, żebyśmy zjedli na werandzie, bo stamtąd jest piękny widok na ocean. Kolacja przybędzie za cztery minuty.

– Ty...

– Zamówiłem kolacje. Chyba że wolisz parówki. Zapytałem Dianne, co ma w lodówce i uznałem, że menu należy trochę urozmaicić.

– Ja lubię parówki – oświadczył Dusty, wciskając się obok Bena do kuchni. Baczenie przyjrzał się matce, wyczuwając, że coś jest nie tak.

– Możemy też odgrzać parówki – zgodził się Ben. – Sam przepadam za parówkami, ale trochę potrwa, zanim się rozmrożą. Może powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej...

– Ty pomyślałeś – powiedziała z wyrzutem.

– Muszę, bo wiem, czego chcę. – Patrzył jej prosto w oczy.

Wiem, czego chcę. Uważaj!

Ma spędzić z tym facetem trzy doby?

Nie ma wyboru.

– Mówisz o jedzeniu, tak?

– A o czym innym? – zapytał tonem niewiniątka, ale nie spuszczał z niej wzroku.

– O, już jedzie! – zameldował Dusty. – Kolacja! Chyba nie lubię rolady z łososia, ale lubię mus czekoladowy. O, a co on jeszcze przywiózł?

Jess oniemiała na widok tego, co obsługa hotelowa wystawiła na werandę.

Sporej wielkości choinka, sznury lampek, bombki, dekoracje stołu.

– To też z wczorajszej kolacji!

– Chyba nie oczekiwałaś, że kupię nowe – wyjaśnił urażonym tonem. – Centrum konferencyjne będzie zamknięte do sylwestra, więc poprosiłem, żeby mi je wypożyczyli.

Wypożyczył je. Pomyślał.

Niesamowity facet.

– Kolacja – zaanonsował kierowca pierwszego wózka. – Wszystko jest gorące. Mamy ubrać choinkę, podczas gdy państwo będą jedli?

Kurczę. Pewnie bez większego trudu przyszło mu wypożyczyć dekoracje, ale na dodatek załatwił, żeby przywieziono je do schroniska z propozycją ubrania drzewka, żeby dostarczono im gorącą kolację...

Ile to musiało kosztować?

Scrooge?

Chyba nie.

Uśmiechał się do niej całkiem inaczej niż Scrooge.

Czuła... Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co czuje.

– Sami ubierzemy drzewko. Po kolacji – powiedział. – To duża przyjemność.

Przyjemność. Szczodrość. Oaklander.

Nie, on to nie Oaklander, to Ben.

Uśmiecha się.

Nie! Niepotrzebny ci ten jego uśmiech. Bądź rozsądna!

Podano kolację.

Rolada z łososia nie przypadła do gustu Dusty'emu, za to Pokey do czysta wylizała jego talerz, po czym błyskawicznie przewróciła się na plecy i radośnie merdając ogonkiem, domagała się dokładki.

– Nic więcej nie dostaniesz – zwróciła się do niej Kathy. – A ty, Dusty, będziesz głodny.

To mu nie grozi, pomyślała Jess, patrząc, jak jej syn pałaszuje drugą porcję musu czekoladowego, a Kathy trzeci kawałek tarty cytrynowej. Nad oceanem ognisto – czerwone słońce malowniczo tonęło za horyzontem, wszystkie zwierzaki zostały nakarmione i było im ciepło. Jess też była najedzona. Ben czuwał nad wszystkim niczym dobry duch.

Wyobraziła sobie, jak wyglądałoby jej Boże Narodzenie w ciasnym służbowym mieszkanku, bez matki. To, co ją teraz spotkało to cudowna alternatywa. Słodka, kusząca syrenia pieśń.

Czuła się jak w rodzinie.

– Pora pozmywać – stwierdziła, podnosząc się z miejsca.

– Z hotelu przyślą kogoś, żeby wszystko zabrał – odezwał się Ben, a na widok jej zdumienia szeroko się uśmiechnął. – To jest zastawa hotelowa. Chyba zapomniałaś o przepisach BHP. Naczynia może zmywać

tylko jedna przeszkolona i upoważniona osoba.

– Czyli ja – mruknęła sennie Kathy.

– Nic z tych rzeczy. Teraz będziesz kierować dekorowaniem drzewka. Ty i Pokey. Dziewczęta i chłopcy, bierzmy się do roboty.

Postawili drzewko pośrodku salonu, zawiesili lampki, udekorowali cały dom.

W połowie tych działań Kathy zaczęły kleić się oczy, więc Ben wysłał ją do łóżka. Dusty się ociągał, ale był tak zmęczony, że wkrótce poszedł w jej ślady, a wraz z nim Pokey.

– Nie, nie, my jeszcze nie idziemy spać – powiedział Ben. – Jeśli w Wigilię domostwo nie będzie przyozdobione, spadnie na nie gniew wszystkich bożonarodzeniowych duchów.

Bez wątpienia w przeszłości przeżył smutne święta, pomyślała, wyczuwając to za maską radości i uporu, z jakim teraz się starał.

– Muszę popłynąć po zakupy – powiedziała z myślą o prezencie dla Kathy... I dla Bena?

Ben stał na drabinie, próbując wyprostować zatkniętą na czubku drzewka gwiazdę. Gwiazda się zakołysała, Ben się zachwiał.

Jess doskoczyła do drabiny, żeby ją przytrzymać.

– Nie jestem ortopedą – ostrzegła go. – Wiem, co się robi w trakcie porodu, ale na złamanych kończynach się nie znam. Zachowuj się rozsądnie.

– Coś mi się wydaje – mówił, poprawiając gwiazdę, podczas gdy Jess trzymała drabinę – że utraciłem zdolność do rozsądnych zachowań. Tydzień temu przypląnąłem tu jako facet rozsądny, ale to już przeszłość. Wystarczy, że spojrzę w dół...

– Przestań! – Uczepiła się mocniej drabiny.

– Przystanę, ale nie widzę konieczności zrobienia zakupów. W hotelu będzie kolacja dla gości. Nam też ją przywiozą. Każdy posiłek, nawet *eggnog* i omlet z truflami na bożonarodzeniowe śniadanie.

– Nie wierzę.

– I donaty dla Dusty’ego. Już ci mówiłem, jestem Scrooge. To supersposób na wydanie pieniędzy ojca.

– Wszystkich?

– Nie, do tej pory ich nie tknąłem, ale uważam, że to jest bardzo dobry początek.

Gdy schodził z drabiny, Jess nie odsunęła się w porę, tak że gdy stanął na ziemi, znalazł się tuż, tuż.

Za blisko.

– Muszę znowu nakarmić małego wombata. – Już miała odejść, ale zaczepiła obcasem o przewód od lampek.

Nie upadła. Nie mogła upaść. Ben chwycił ją za ramiona. Tym razem to on przytrzymał ją. Ucieszyła się, bo nagle kolana zrobiły się jej jak z waty.

– Ben...

– Nie skrzywdzę cię...

– Wiem. – Czy aby na pewno? Czują... pragnienie... pożądanie...

Głębokie uczucie?

Ale jednocześnie strach, który nie umknął jego uwadze.

– Idź nakarmić tego swojego wombata – powiedział. – Za daleko to zaszło i za szybko. Poraziło nas niczym grom.

– Mnie nie.

– Kłamczucha.

– Ben...

– Okej, idź karmić wombata. Nie odważę się przeszkadzać lekarzowi w pełnieniu jego powinności. Ale, doktor McPherson, kiedy znowu stanie się pani Jess, kiedy odłoży pani na bok profesjonalizm... – Zawahał się, poważniejąc. – Kiedy wróci Jess, przypomnij sobie, że jestem Benem, tylko Benem, kiedy jestem z tobą. Zapomnij o moim nazwisku. Jak chcesz, mogę je zmienić. Zmienię wszystko, co chcesz.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Powinna się oprzeć, ale tego nie zrobiła, bo zabrakło jej sił.

Musnął wargami czubek jej nosa. Po przyjacielsku.

Całus męczyzny nieskończenie cierpliwego.

– Ja to Ben, ty to Jess – powtórzył. – Jutro Wigilia, więc pora spisać, czego chcemy od Mikołaja. Wiem, czego zawsze chciałem i dalej chcę tego samego. Pomyśl, czego ty byś chciała i się zastanów, czy nie tego samego, co ja.

W Wigilię zapanowało w schronisku świąteczne zamieszanie. Za sprawą Bena.

Z hotelu przyjeżdżały coraz to nowe dostawy. Więcej ozdób, bo Ben uznał, że drzewa wokół schroniska wyglądają goło. Mikołajowe czapki oraz sam Mikołaj w saniach ze światełkami, do zamontowania na dachu.

– Chyba mi nie powiesz, że leżało to w hotelu nikomu niepotrzebne – powiedziała z niedowierzaniem.

– Ostatnia dostawa przyszła dzisiaj po południu. Już ci mówiłem, że dodałem kilka pozycji do listy zakupów.

– To niedorzeczne.

– Wcale nie, to wielka frajda – odezwał się Dusty, który jak urzeczony wpatrywał się w Mikołaja na dachu. Umocowanie tam sań i świętego zajęło Benowi całą godzinę. – Kathy, chodź zobaczyć.

– Kathy bolą plecy.

Kathy uparła się, że pozamiata wszystkie ścieżki w azylu. Zajęło jej to całe przedpołudnie, więc teraz leżała wyczerpana na werandowej kanapce.

Jess ją zbadła. Żadnych skurczy, ale...

Dziewczynę opuściło poczucie humoru, nie mszyła się obejrzyć Mikołaja na dachu, a gdy Jess podała jej herbatę, podziękowała, po czym zalała się Izami.

– Ja chcę do Mike’a – chlipnęła. – Wiem, to głupie. A my też zrobiliśmy głupio, pracując w tym tygodniu, żeby dostać ekstra kasę.

Głupio, że mu nie powiedziałaś, kiedy masz termin, pomyślała Jess, ale tylko pogładziła ją po ręce i przyniosła jej drugą poduszkę pod plecy. Posadziła przy niej Dusty’ego, który otrzymał polecenie zrobienia łańcucha z hotelowych serwetek, a sama poszła po raz kolejny nakarmić zwierzęta.

Większość była bardzo głodna, ale nie Pokey.

Suczka niespokojnie kręciła się po salonie.

– W tej sprawie niewiele możemy zrobić – orzekł Ben. – Jak wczoraj poszłaś spać, spędziłem dwie godziny w internecie, czytając o psich porodach.

– Wystarczyły ci dwie godziny?

– Mam jeszcze kilka niejasnych punktów – przyznał. – Ale na moje oko najgorsze co nas może spotkać, to cesarskie cięcie, ale mamy środki uśmierzające. Ja będę chirurgiem, ty anestezjologiem.

– O, dzięki!

– Są jeszcze jakieś inne problemy?

– Hm... Slash też nie tknął jedzenia. Sally powiedziała, że nie jadł,

od kiedy go przynieśliśmy. Rozmroziłam mu mysz, wsunęłam do klatki, pomachałam nią, a on nic. Mnie mrożona mysz jest obojętna, ale Sally twierdzi, że to ich przysmak. Mam nadzieję...

– Może tylko to nam pozostało.

– Nie wiem, co robić.

– Nie tylko ty.

Musi zdobyć prezenty.

Wieczorem Dusty postanowił rozwiesić na werandzie skarpety. Dla Mikołaja. Ale nie mieli skarpet, więc użył powłoczek na poduszki.

– Co to za kraj, w którym nie ma kominów? – zrzędził, krzątając się na werandzie. Do każdej powłoczki przyczepił karteczkę: Mama, Dusty, Wujek Ben, Kathy, Pokey.

Jess spoglądała na nie z przerażeniem.

Prezent dla Dusty'ego przywiozła z Londynu. Poprzedniego dnia w miejscowym sklepie kupiła dla Kathy kosmetyki, dwa śliniaczki z kazuarem oraz puszysty płaszcz kąpielowy.

Nie znalazła tam nic, co by się nadawało dla Bena. Książka o faunie Australii Północnej dla kogoś, kto mieszka tu na stałe?

Płaszcz kąpielowy? To dobre dla Kathy. Na myśl o Benie w białym płaszczu kąpielowym...

Nie!

Więc „skarpety” Bena wisiała pusta.

– Mam kłopot z Benem – zwierzyła się Dusty'emu.

– Można mu dać te książki, które ciocia Rhonda dała mi do samolotu – powiedział po dłuższym namyśle. – Na jedną wylał mi się sok pomarańczowy, ale pozostałe dwie wyglądają jak nowe.

– Nie przypominam sobie...

– To są książki dla facetów. – Dusty wzruszył ramionami. – Staroświeckie, takie ze strzelbami... Jak chcesz, to mogę je zapakować. Mam jeszcze kilka serwetek.

– Dobrze – powiedziała słabo. – Hm... a co dla Pokey?

– To proste. Ona kocha mój czerwony polar, ten puszysty. Kazałaś mi go zabrać, ale ani razu go tu nie włożyłem. Poza tym wczoraj na niego zwymiotowała.

– Naprawdę?

– Nie chciałem ci mówić, bo chyba czymś się wczoraj martwiłaś. Teraz też się martwisz?

– Chyba nie.

– Szkoda, że zostały nam już tylko dwa dni z wujkiem Benem.

– T... tak.

– Ale jutro jest Boże Narodzenie. – Dusty się rozchmurzył. – Chcesz wiedzieć, o co prosiłem Mikołaja?

– Trochę już późno.

– Wcale nie, bo on tu jest. Mam to, co chciałem, ale chciałbym mieć go dłużej.

Dzień Bożego Narodzenia, świt.

Coś obudziło Jess.

To Pokey skomlała pod łóżkiem Dusty'ego.

Jess zajrzała od łóżko i ujrzała suczkę wciśniętą w najodleglejszy kąt. Spoglądała na nią przerażonym wzrokiem. Znowu zapiszczała.

Dusty się obudził, usiadł na łóżku, po czym popatrzył na matkę i szeroko się uśmiechnął.

– Pokey nas obudziła – powiedział z nieskrywaną satysfakcją. – Boże Narodzenie!

Jakby na ten znak usłyszeli przeciągły jęk, który jednak nie wydobywał się spod łóżka, ale z sąsiadującego domu.

O la, la!

– Wesołych świąt, synku. – Jess przytuliła Dusty’ego i pocałowała go w czubek głowy. Pospiesznie, bo czekały na nią inne zajęcia. – Wszystkiego najlepszego. Zdaje się, że nieważne, co zamawialiśmy u Mikołaja, bo on postanowił obdarować nas maluszkami.

Kathy była we wczesnym stadium porodu, a jęk był bardziej jękiem strachu niż bólu, strachu wywołanego pierwszym skurczem.

Wszyscy się pobudzili. Ukoili Kathy, ułożyli ją na kanapce na werandzie, opowiedzieli, co się z nią dzieje, wręczyli jej kubek z herbatą. Kathy w końcu się uspokoiła, po czym zażyczyła sobie śniadania.

Było dopiero wpół do siódmej, a hotelowe śniadanie miało przyjechać o ósmej.

Jess i Dusty pobiegli do Kathy w piżamach, przed nimi stawił się Ben, w kraciastych bokserkach i spłóviałym T- shircie. Gdy Kathy oznajmiła, że jest głodna, Ben poprosił Dusty’ego o pomoc. Niedługo potem pojawił się talerz ze stertą grzanek.

Trzeba było zabrać szlafrok, pomyślała Jess.

Przecież Ben widział ją w bikini, a to jeszcze mniej niż kusa piżamka.

– Musimy się liczyć z koniecznością przewiezienia cię na stały ląd – powiedział Ben, a Kathy zeszywniała.

– Nie. Dlaczego? Mamy grzanki.

Jess spojrzała na Bena i pomyślała: poradzimy sobie, ułożenie prawidłowe, wszystko wygląda dobrze.

Ben przyniósł Pokey w koszu na pranie wyłożonym ręcznikami i

postawił w cieniu za kanapą Kathy. Suczka popiskiwała, nie chciała grzanki, sprawiała wrażenie nieszczęśliwej.

– Zanosi się na długi dzień – zauważyła Jess, siadając z grzanką na schodkach werandy.

– Za to bardzo interesujący. – Czy Ben patrzy na jej piżamę?

Zaczerwieniła się, a on się uśmiechnął, więc zerwała się na równe nogi.

– Skoro jeszcze nic się nie rodzi, pójde nakarmić maleństwa.

– Karmiłaś je o czwartej – zauważył Ben. – Skarpety czekają. – Od razu stało się jasne, co jest jego priorytetem.

– Prezenty są ważniejsze od maluchów?

– Jasne – odezwała się Kathy, która jak zaczarowana wpatrywała się w wypchane powłoczki. Chyba nawet zapomniała o skurczach. – Chcecie urazić Mikołaja?

Bez wątpienia Święty Mikołaj nie miał prawa poczuć się niedoceniony.

W powłoczce Dusty’ego znalazła się mała lornetka.

Wielu dziesięciolatków nie byłoby zadowolonych z takiego prezentu, ale Jess trafiła w dziesiątkę. Dziękując jej, Dusty o mało jej nie udusił.

Wpadł w jeszcze większy zachwyty, gdy otworzył paczkę od wujka Bena. Deskorolka!

Jakim cudem...? Jak długa była jego lista zakupów?

– Gdzie tu można pojechać na desce? – zapytała Jess, z przerażeniem myśląc o dopłacie do bagażu.

– Na werandzie – stwierdziła Kathy. – Och...

Nastąpiła mała przerwa. Jess mocno ją obejmowała przez dwa

kolejne skurcze. Ben tymczasem zniknął, po czym wrócił z pojemnikiem i maską.

– Tlen...? – Jess nie dowierzała własnym oczom. – Skąd...?

– Już mówiłem. Wczorajsza lista zakupów. To zdecydowanie jest trudno dostępny region, ale nie ma powodu, żeby nie było tu tego, co potrzebne.

– Nie wiedziałeś, że Kathy zacznie rodzić.

– To prawda. Pomyślałem jednak, że jak będziemy przygotowani, to nic się nie wydarzy. Logiczne?

– Logiczne – odrzekła.

Dusty ćwiczył na desce, Kathy spróbowała tlenu, ale stwierdziła, że nie jest jej potrzebny. Bardziej interesowały ją prezenty.

– Od wujka Bena? – zdziwiła się, przeczytawszy karteczkę.

– Pomyślałem, że dla wszystkich mogę być wujkiem Benem. Straciłem dziesięć lat, więc muszę to jakoś nadrobić.

Od Jess i Dusty'ego dostała kosmetyki, śliniaki i płaszcz kąpielowy, a od Bena ubranka, pieluszki, kocyki, wszystko, czego może potrzebować noworodek.

Popłakała się i natychmiast dostała kolejnego skurczu. Tym razem uchwyciła się Jess niczym tonący.

– Uch... – sapnęła. – Myślałam... że kupimy to z Mikiem, ale teraz... Och, jak ono się już urodzi... – Zapomniała o skurczach i dalej rozpakowywała prezent od Bena.

Po raz kolejny trafił w dziesiątkę, pomyślała Jess. Kathy jest zupełnie nieprzygotowana.

Ona, Jess, powinna była to przewidzieć, ale Ben ją zdekoncentrował.

W dalszym ciągu ją rozprasza. Siedzi na najniższym schodku

werandy w bokserkach. Wygląda... oszalamiająco i otwiera prezent od niej i Dusty'ego.

Dwie książki podarowane przez ciocię Rhondę.

„Przygody chłopców, tom 1. ”

„Przygody chłopców, tom 2. ”

Przekartkował je, po czym dziwnie spojrział na Jess.

– O co chodzi? – zapytała, wstrzymując oddech.

– Czytałaś mój list do Mikołaja.

– Nie.

– Rozmawiałaś z moją sekretarką.

– Trafiłeś. – Zanurkowała za kanapę, żeby sprawdzić, co dzieje się z Pokey.

Suczka miała bardzo, bardzo skupioną minę. Gdy Jess chciała ją pogłaskać, zawarczała.

– Ma prawo warczeć – powiedziała Kathy – jak się czuje tak samo jak ja. Uch... Nie zwracajcie na mnie uwagi... Jess, co dostałaś?

Ben podał Kathy maskę.

Od Dusty'ego Jess dostała osłonkę na pudełko z chusteczkami, zrobione w szkole i przywiezione z Londynu, lekko tylko zgniecione.

Nigdy się z nią nie rozstanie.

Mydełka od Kathy, każde z wizerunkiem kazuara.

– Miałam mało czasu – tłumaczyła się Kathy. – Ale strasznie podoba mi się ten płaszcz kąpielowy. Zwinęłaś go?

– Nie. A ty zwinęłaś mydło?

Wymieniły się uśmiechami. Jak kumpele.

Boże Narodzenie.

Na gałęziach drzew nad werandą hałasowały czerwone papugi, a

między pniami drzew połyskiwał ocean.

Jess siedziała blisko Kathy, by w razie czego trzymać ją za rękę, Ben pomagał Dusty'emu zapanować nad deskorolką. Miała wrażenie... czuła...

– Na dnie twojej „skarpety” jest koperta – rzucił Ben tonem od niechcenia.

Więc po nią sięgnęła, rozerwała ją, po czym ją upuściła. Ben nie przestawał się uśmiechać. Podniósł ją i jej podał.

– Prawdę mówiąc, to od Nate'a – wyjaśnił. – Za pośrednictwem wujka Bena.

Przyglądała się.

Dwa czeki na sumę, która sprawiła, że oczy zaszyły jej mgłą.

– Nie waż się ich podrzeć – ostrzegł, widząc jej wahanie. – Te czeki są od Nate'a, to jego część fortuny naszego ojca, która ostatecznie przypadła mnie. Nie ruszyłem ani centa. Zadzwoń tu i tam, żeby się dowiedzieć, jaka jest średnia wielkość alimentów, pomnożyłem to przez dziesięć lat. To jest ten pierwszy czek, wypisany na ciebie. Nate ci nie wynagrodzi, że urodziłaś mu syna, a chciałbym, żeby to uczynił. Nie wie... nigdy się nie dowie, jaki to wielki dar. Drugi czek to reszta majątku Nate'a. To ma być fundusz powierniczy Dusty'ego.

To powiedziawszy, zajął się Dustym, który pracowicie zmagił się z deskorolką.

Jess wpatrywała się w czeki. Pomyślała, że mogliby wyprowadzić się ze służbowego mieszkania, pomyślała, że nie powinna ich przyjąć, ale uzasadnienie Bena...

– Mamo, dlaczego płaczesz? – zdumiał się Dusty.

– Nie, nie płaczę... To dlatego że jestem szczęśliwa...

– Bo są święta i masz nas – stwierdził rezolutnie. – I są prezenty...

Huraa, śniadanie! Donaty. Kathy, zmieścisz i grzanki, i donaty?

– Jasne.

Jess wyobraziła sobie, jak by wyglądały samotne święta Kathy. Teraz rodzi w świątecznej atmosferze, otoczona troskliwymi ludźmi. Ma Dusty'ego na deskorolce i rodzącą Pokey. Przypomniały się jej ich poprzednie smutne święta, kiedy było wiadomo, że matka już nie wyjdzie ze szpitala, kiedy zawisła nad nią perspektywa sprzedaży domu, żeby spłacić koszty leczenia.

Śnieg, błoto, samotność.

Ben ją obserwował, a w jego spojrzeniu wyczytała konkretne pytanie.

Gdyby tylko potrafiła zdobyć się na ten krok, odważyć się...

Ale to za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie.

Może Ben znajdzie się na mojej liście bożonarodzeniowych prezentów w przyszłym roku, pomyślała przerażona. Czują, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Skomlenie.

– To chyba Pokey – powiedział Dusty, wczolgując się pod kanapę.
– Faj!

– Och... – jęknęła Kathy, chwytając Jess za rękę.

Jess znowu znalazła się na twardym gruncie. Bogu dzięki za obowiązki zawodowe.

W bożonarodzeniowy poranek doktor McPherson w różowej piżamce stała się uosobieniem profesjonalizmu. To dobrze, bo wszystko inne przyprawiało ją o zawroty głowy.

Szczeniaki Pokey przychodziły na świat w odstępach dwudziestominutowych. Wszystkie były podobne do mamy. Trzy pieski i jedna suczka, zgodnie z przewidywaniami. Marge nie wiedziała, kto jest

ojcem, ale sądząc po ich wyglądzie, mógł być całkiem rasowy.

– Mm... starannie wybierałaś, komu oddać serce – szepnęła poruszona Jess.

– Nasza Pokey to bardzo grzeczna dziewczynka – powiedział Ben.

Zdażył się już przebrać, podobnie jak Jess. Oboje na zmianę doglądali Kathy, ale bez nadmiernej przesady, bo należało nakarmić zwierzęta, podnosić Dusty’ego po każdym upadku, zaopiekować się Pokey.

Wszystko to działo się dookoła Kathy.

Zbliżał się ostatni etap porodu. Ben nawet opuścił spod sufitu zasłony, ale poza krótkim badaniem Kathy nie życzyła sobie prywatności. Ze swojego miejsca widziała las i ocean. Opiekowało się nią dwoje położników, a w hotelu pod telefonem czekał pediatra.

Kathy od czasu do czasu korzystała z tlenu, ale jeszcze się jej nie spieszyło, za to emocje zaczynały brać górę.

– Mike... – powtarzała stale. Ten jęk stopniowo przeradzał się w krzyk. – Mike...!

Nagle, koło drugiej, tuż po tym jak wstali od dosyć niezwykłego świątecznego obiadu, w trakcie którego Kathy zjadła trochę mango i popiła go lemoniadą, ale poprosiła, żeby zostawić dla niej na później...

Przybył Mike.

Jess myślała, że to hotelowy wózek jedzie po zabrudzoną zastawę.

Gdy usłyszała warkot silnika, akurat leżała pod kanapą, przy Pokey, która dała się pogłaskać i nawet trochę zjadła.

Wyprostowawszy się, obok wózka ujrzała chudego młodzieńca w dzinsach, roboczej koszuli i roboczych butach. Wyglądał na spłoszonego.

– Czy to tutaj...? – zapytał. – Kathy...!

– Mike!!!

Mike zapomniał o bożym świecie: wbiegł na werandę i objął Kathy jak największy skarb.

Kilka godzin później Kathy miała skurcze co kilkadziesiąt sekund, ale teraz jej uwaga skupiała się wyłącznie na Mike’u, który, o dziwo, pouczał ją, jak ma oddychać.

– Sporo czytałem – wyjaśnił. – To jest maseczka gazowa, tak? Kathy, skarbie, może być...

Przy nim Kathy była gotowa na wszystko, nawet na poród.

– Zawołaj nas, jak będzie chciała przeć – powiedział Ben. – Będziemy do was zaglądać co dziesięć minut.

Dusty leżał na skraju polany i przez lornetkę oglądał papugi w koronach drzew.

Ben wziął Jess za rękę, by wraz z nią popatrzeć na morze.

Powinna cofnąć tę rękę, ale nie cofnęła.

– Co sprawiło, że wybrałeś położnictwo? – zapytała przyjacielskim tonem, próbując bagatelizować to, co ich łączy.

– Zamiast jak ojciec zostać pazernym miliarderem? Albo jak brat playboyem?

– Tego nie powiedziałam.

Pokiwał głową, a ona pomyślała, że jej nie odpowie, że będzie stał, po prostu trzymając ją za rękę. Ale...

– Z powodu bliskich innych rodzin. Zawsze miałem przeświadczenie, że znajduję się na zewnątrz i tylko ich obserwuję, a medycyna zawsze mnie pociągała. Pamiętam swój pierwszy poród. Miałem wtedy praktyki w szpitalu publicznym. Na położniczym był potworny tłok, a o trzeciej nad ranem przyjechała kolejna rodząca. –

Nadal patrzył na morze. – Jej mąż pracował na nocnej zmianie w stalowni. Ktoś go ściągnął do szpitala. Był umorusany od stóp do głów, nie miał z kim zostawić dzieci, więc przyprowadził je ze sobą: troje zaspanych maluchów w tanich piżamkach. Mama nie dotrwała do sali porodowej, urodziła na wózku. Wezwano mnie do pomocy, bo wszyscy inni byli zajęci. Pamiętam, jak podałem jej maluszka, a potem im się przyglądałem. Rodzina. Ich reakcja na to nowe dziecko... Byli biedni, a wszyscy pragnęli tego dziecka. To mnie urzekło.

– Mimo to zdecydowałaś...

– Że sam nie podejmę takiego ryzyka. – Wzruszył ramionami. – Jestem tchórzem, ale patrząc z zewnątrz... – Zerknął na werandę, skąd dochodziły odgłosy świadczące o kolejnym skurczu. – Kocham ten zawód. A ty?

Dlaczego wybrała położnictwo?

– Marzyłam o weterynarii, ale zdawałam sobie sprawę, że z powodu choroby mamy nie wyjadę z Londynu, poza tym w Londynie nie było dla mnie pacjentów.

– Węży?

Uśmiechnęła się.

– Oraz lwów. Niewiele było ich w Londynie, a uniwersytet medyczny znajdował się bliżej domu niż wydział weterynarii. Zostałam lekarzem, ale... ciągle nie wiedziałam, czego chcę. Potem przyszedł na świat Dusty. I wtedy poczułam, że moje życie dopiero się zaczyna. Tuląc go, czułam, że poród to najcudowniejsze wydarzenie. Nadal tak uważam. Może być taki powód?

– Mnie wystarczy. – Mocniej uściskał jej rękę.

Powinna się odsunąć, powinna...

Nic takiego nie zrobiła.

– Domagam się jeszcze jednego wyjaśnienia. Mike. Weipa.

– Klasa biznesowa z Weipa. Dzięki mojemu tacie. Kiedy Kathy powiedziała, że już nie ma wolnych miejsc, przyjąłem, że nie wzięła pod uwagę klasy biznesowej, a potem śmigłowiec na wyspę. Za pieniądze można mieć wszystko.

– Chyba tak...

– Ale nie to, czego pragnę najbardziej. Ty wiesz, że cię kocham.

Nawet papugi w koronach drzew zamilkły.

– To niemożliwe – wykrztusiła. – Znamy się tydzień.

– Żeby kogoś pokochać, wystarczy krócej.

– To Dusty, prawda? Sam powiedziałaś, że... chcesz mieć rodzinę.

– Nieprawda. Panicznie boję się rodziny. Nawet nie przyszło mi do głowy spróbować. Przyznaję, że polubiłem Dusty'ego, ale teraz... Gdybyś stała teraz na pustynnej wyspie, sama, w żaden sposób niezwiązana z moim życiem ani z Dustym, jestem pewny, że też bym cię pokochał.

– Auuu...! – Ten krzyk zmącił ciszę.

Muszą wracać.

Ben się skrzywił.

– W następnym wcieleniu zostanę księgowym. Bo oni mają święty spokój. Ale w tym życiu... Jeśli wyjdiesz za mnie, stale będziesz miała do czynienia z maluchami.

– Nie wyjdę za ciebie. – Czuła, że ze strachu brakuje jej tchu. – A nawet gdybym wyszła, to będę miała własne maluchy.

– Nasze własne – powiedział z uśmiechem. – Mnie to odpowiada.

– Nie! – Prawda była inna i on to wyczuł.

– Doktorze, Kathy prze!

Wzywały ich obowiązki.

– Dokończymy tę rozmowę później. – Ben ruszył w stronę werandy.
– Zabierzesz Dusty’ego gdzieś, gdzie nie będzie słyszał? Mam wrażenie, że Kathy będzie parła co sił w płucach.

– Dusty jest dzieckiem położnika. Wiele godzin spędził w poczekalniach pod salami porodowymi. On wie, kiedy trzeba krzyczeć.

– Dusty to wspaniały dzieciak.

– Chodźmy powitać kolejnego wspaniałego dzieciaka – rzuciła niepewnym głosem. – A o sprawach osobistych więcej rozmawiać nie będziemy.

Nie poszło tak gładko, jak oczekiwali. Kathy do końca ciężko pracowała, była bardzo chuda, zmęczona i po prostu nie miała siły przeć.

Widząc, że Kathy boi się coraz bardziej, gdy skurcz przeszedł, Ben stanął przed nią tak, że musiała na niego patrzeć, po czym ujął ją za rękę.

– Kathy, dasz radę – powiedział stanowczym tonem. – Ale dla dobra dziecka musisz opanować strach.

– Nie mogę... nie mogę...

– Możesz. Wiem, że boli jak cholera, ale tu nie ma środków przeciwbólowych, więc musisz to zrobić bez nich. Ten ból... Wyobraź sobie, że to dynia chce się wydostać. Pcha się i pcha, ale trzeba jeszcze kilku milimetrów, żeby wyszła... Jeszcze jedno albo dwa silne pchnięcia.

– Nie mooogę...!

– Musisz, bo dopóki ta dynia nie wyjdzie, będzie cię bolało. Postaraj się raz a dobrze i będzie po bólu. Przyj z całych sił, a pozbędziesz się bólu. I dynia będzie wasza.

– Dy... nia...

– Znaczy maleństwo – poprawił się Ben. Kathy spojrzała mu w

oczy, a on popatrzył na nią pewnie i stanowczo, po czym oddał jej rękę Mike'owi. – Okej. – Przeszedł w nogi kanapy. – Wasz koniec prze, a nasz, Jess i mój, czeka, żeby dynię pochwycić. Kathy, kochana, przyj!

Dziewczyna przestała krzyczeć, skupiając się na parciu.

– Widzę główkę – zameldował uradowany Ben. – Z czarnymi kędziorkami.

– Czarnowłosa dynia – wyjęczała Kathy. Wystarczyło jeszcze jedno desperackie pchnięcie, by w ręce Bena wysliznęła się śliczna dziewczyneczka.

Reszta dnia minęła jak za mgłą.

Trzeba było nakarmić zwierzęta, zająć się noworodkami, a do tego chyba połowa obsługi hotelu odwiedziła ich pod byle jakim pretekstem, żeby dowiedzieć się nowości.

Jedna maleńka dziewczynka, dwoje oszołomionych dumnych rodziców, cztery szczeniaki, dziesiątki zwierzaków do oporządzenia.

To dopiero Boże Narodzenie!

O zmierzchu z hotelu przysłano kanapki z indykiem, *trifle* z mango oraz szampana. Rzucili się na nie jak zgłodniałe wilki.

Potem przeprowadzili Kathy z córeczką do łóżka Sally. Ben odstąpił swoje łóżko Mike'owi.

Dusty, skonany, też poszedł spać.

– Martwię się o Slasha – wyznał, gdy Jess przyszła życzyć mu dobrej nocy. – Dalej nie je i ma guza na brzuchu.

Infekcja?

– Przyjrzę mu się – obiecała.

– I niech wujek Ben też mu się przyjrzy.

– Hej, czy to znaczy, że Ben jest lepszym lekarzem niż ja?

– Nie... tylko innym. – Oczy mu się kleiły. – Jak deskorolka i lornetka, one też są różne, a chcę mieć je obydwie. – Przytulił się do niej. – Tak jak chciałbym mieć i ciebie, i wujka Bena.

Też powinna się położyć, ale musi zająć do węża.

Klatka Slasha znajdowała za rogiem domu, więc wzięła latarkę i obesła dom. Snop światła z latarki padł na Bena, który leżał na brzuchu przed klatką. I też świecił latarką.

Usłyszał jej kroki.

– Pani doktor, potrzebuję pani fachowej opinii.

– Infekcja?

– Sama oceń. – Przesunął się nieco, żeby zrobić jej miejsce.

Ma się położyć obok niego? Chyba oszalała.

– Dusty mi powiedział, że Slash ma guza – oznajmił.

– Mnie też. Dlatego tu jestem – dodała, leżąc na ziemi, by nie pomyślał, że go szukała.

– Ten guz się rusza.

– Co takiego?

– Przyjrzyj się.

Leżała, a właściwie opierała się o niego. Neroztropnie, ale on był skoncentrowany na wężu. Fachowa opinia? W porządku.

Guz...? Faktycznie.

I się rusza.

Mniej więcej w jednej trzeciej długości, licząc od ogona. Zauważyła to wybrzuszenie, gdy go opatrywali, ale pomyślała, że coś zjadł i powoli trawi.

– To ciąża? Miałem cię za eksperta od węży – mruknął z wyrzutem.

– Nie mam pojęcia, gdzie on ma serce, a co dopiero macicę –

przyznała się. – Jesteś pewien że to ciąża? A nie robaki albo coś innego?

– Patrz. – Oświetlił sam koniec ogona, lekko uniesiony, a pod nim zwisający, hm... kawałek węzowej skóry. Na ich oczach spod tej klapki wysunął się kawałek pokrytego błoną bąbla, który po chwili się cofnął. Przez ciało węża przeszedł skurcz.

– To chyba robaki – mruknęła z lekkim obrzydzeniem. – Panie święty, wężatka?!

– Jestem tego pewien. Zajrzałem do internetu. Najpierw szczeniaki, teraz węże. Trochę za późno na USG, ale może ich być do czterdziestu.

– Czterdzieści?!

– Długo to trwa. Może kleszcze?

Obłąd.

– Nie lepiej zaaplikować jej znieczulenie zewnątrzoponowe? Na pewno bardzo cierpi.

– Byłby to bardzo interesujący przypadek anestezji – przyznał. – O, już jest!

Bąbel poruszył się, po czym wypełził z niego maleńki wężyk.

– Jeden – oznajmił Ben z satysfakcją. – Jak nazwać czterdzieścioro noworodków? Jeden już jest, zostało jeszcze trzydzieści dziewięć, mniej więcej.

– Zamierzasz je liczyć przez całą noc?

– Dobry położnik nie opuszcza szpitala, dopóki pacjentka bezpiecznie nie urodzi – odrzekł. – Nigdy nic nie wiadomo. A jak siedemnasty będzie ułożony pośladkowo?

– Matka poda cię do sądu, jak nie będziesz miał kleszczy pod ręką.

– Ma do tego prawo. A tak na marginesie, uważasz, że Slash to dobre imię dla węża płci żeńskiej? A jakie imiona damy małym?

– Niech będzie Sasha. Chcesz mieć czterdzieści imion?!

– Czterdzieści pięć. Dla szczeniaków i dla Dyni! Doktor McPherson, jako bożonarodzeniowy zespół położniczy jesteśmy niezrównani. Nikt nam nie podskoczy. Tworzymy superteam!

Nagle śmiech zgasł, atmosfera szaleństwa prysła.

Ben wyjął jej z rąk latarkę, objął ją i zaczął całować.

Leży na trawie i daje się całować Benowi Oaklanderowi. Nie, Benowi.

Noc Bożego Narodzenia, rozgwieżdżone niebo, sześcioro noworodków, licząc węże, a będzie ich więcej. Prawdziwie niezwykle Boże Narodzenie.

Które kończy się tak, jak powinno. Pocałunkiem.

Bożonarodzeniowy pocałunek, na to może sobie pozwolić. Jednak rozsądek podpowiadał jej co innego. Niechętnie uwolniła się z objęć Bena.

Nie patrząc na niego, sięgnęła po latarkę, żeby poświecić na węża.

– Dobrze sobie radzi – szepnął Ben. – Mam przynieść pled?

– Nie.

– Nie?

– Nie. – Jakimś cudem udało się jej stanąć na nogach. Ben też się podniósł.

– Jess, nie skrzywdzę cię – powiedział półgłosem. – Będzie dla mnie sprawą honoru chronić cię przed wszystkim, co może cię zranić. Mam szczerą wolę spróbować.

– Ben...

– Wiem, za szybko, za wcześnie, nie możesz mi zaufać, bo wyglądam jak Nate, bo mnie nie znasz, nie możesz mnie pokochać, bo to

nierozsądne. Wiem to wszystko, ale mimo to cię kocham. – Położył jej ręce na ramionach i wargami musnął jej wargi. – Idź spać. Dzisiaj ja mam dyżur.

Czy po czymś takim można zasnąć?

Jeszcze wieczorem ustalili, że w nocy Kathy i jej rodziny będzie doglądał Ben, a Pokey i szczeniaków ona.

Przez godzinę, dwie leżała i myślała. O Benie. Który czuwa przy rodzącym wężu. Należało mu sprezentować książkę o wężach.

Od Dusty'ego dostał dwie książki, a co ona mu dała? Nic. Co on kiedykolwiek dostał? Majątek w spadku po ojcu. I go nie tknął.

Niechęć Nate'a. Przypomniała sobie pogardę w głosie Nate'a, gdy wspomniał o swoim bracie: „mój święty braciszek”. Ben miał jedenaście lat, gdy matka, żeby ukarać ojca, wywiozła go na drugą półkulę. Właściwie nie miał rodziny. Pomyślała o swoich rodzicach, o swojej rodzinie, o tragedii, ale też o wzajemnej miłości i radości, wspólnych łzach i wybuchach śmiechu. Nie mieć tego...

Nie dać tego...

Spadło to na nią niczym olśnienie. Nie chce mu tego dać z obawy, że to może zostać odebrane...

Odebrane jej czy Benowi? On jest bardziej odważny niż ona, bardziej boleśnie doświadczony, a mimo to patrzy na nią, jakby niczego więcej w życiu nie pragnął.

Zrezygnował z samotności w święta, przeglądał internet, by doszkolić się w kwestii porodu Pokey, a teraz, w nocy, leży na ziemi, asystując przy narodzinach węży. Czy można porównywać go z Nate'em, bo tak samo się uśmiechają? Nie. Uśmiechają się tak samo tylko pozornie, bo za jego uśmiechem kryje się miłość.

Czy to wystarczy do stworzenia rodziny? Sam tego nie zrobi. Do tego trzeba dwojga. Gdyby znalazła w sobie odwagę... Bo ją też przepelnia miłość, głęboko ukryta. Którą przeznaczyła dla matki oraz Dusty'ego.

Gdyby otworzyła swoje serce...

– Nie wiem, co z tego wyniknie. Może powinnam uwierzyć...?

Liczył kolejne węzyki, rozmyślając o Jess.

Jutro wyjedzie.

Mógłby podążyć za nią. Ale jak ją uwolnić od strachu przed nim? Mając teraz materialne zabezpieczenie na przyszłość, zapomni o nim, o bracie Nate'a.

Węzyk numer dwadzieścia siedem.

– Musiałeś już użyć kleszczy? – Uklękła tuż obok niego. W różowej piżamce.

– N... nie – wykrztusił. – Do tej pory poród podręcznikowy.

– Na wszelki wypadek przyniosłam ci swoją pęsetkę.

– Wróciłaś z zawodowej ciekawości?

Położyła się obok niego. Kurczę, dlaczego nie postarał się o koc?

– Nie. Zorientowałam się, że za kwadrans będzie północ, a to znaczy, że ciągle jest Boże Narodzenie. Przyszłam w roli Świętego Mikołaja.

– Mikołaja...?

– Zastanawiałam się... Przemyślałam sobie wszystko, co powiedziałeś.

– O czym? – Dużo go kosztowało nie wziąć jej w ramiona.

Niemal przeoczył węzyka numer dwadzieścia osiem.

– O tym, że mnie kochasz i że to wielki dar wiary. To niesamowite,

że mi go ofiarowałeś. Przyszło mi do głowy, że okazałabym się tchórzem, gdybym go odrzuciła... – Szukała odpowiednich słów. – Doszłam do wniosku, że dwie książki to zbyt skromny prezent. Jeden prezent od ciebie, pieniądze Nate’a, odmieni całe moje życie. Drugi to twoja miłość. Za dwie głupie książki...

– To bardzo dobre książki – zaczął ostrożnie. – O piratach, zakopanym skarbie i szalonym kapitanie statku.

– Ben...?

– Słucham.

– Chciałbyś dostać drugi prezent?

– Nie muszę...

– Przymierz, czy pasuje. – Ujęła jego dłoń.

W palcach trzymała złotą obrączkę. Nim zdążył zareagować, wsunęła mu ją na piąty palec. Pasowała jak ulał.

– To jest obrączka mojego taty – wyjaśniła. – Kazałam ją zwięzić. Od ich śmierci nosiłam tę obrączkę i pierścionek zaręczynowy mamy. Bardzo ich kochałam, a oni mnie. I przyszło mi dzisiaj do głowy, że powinnam podzielić się tą miłością, że cię poproszę, żebyś ją nosił, dopóki... dopóki w jej miejsce nie włożę ci prawdziwej...

Zatkało go.

– Chcesz powiedzieć... mam rozumieć, że...?

– Czy wypada kobiecie poprosić faceta o rękę? Jak nie, to potraktuj tę obrączkę po prostu jako prezent i... nadzieję.

– Na to, że może za mnie wyjdiesz? – Musiał o to zapytać.

– Jeśli mnie zechcesz. Mnie i Dusty’ego – dodała pośpiesznie. – I może nawet Pokey.

– To sporo.

– To bardzo, bardzo dużo. Nie wiem, skąd we mnie tyle śmiałości.
Dwadzieścia dziewięć. Ten musi sam sobie wymyślić imię, pomyślał Ben, bo on do tego nie ma głowy.

– Jeśli kobiecie nie wypada prosić mężczyzny o rękę...

– To ja, oczywiście, wszystko odwołam.

Leżą na ziemi pod rozgwieżdżonym niebie, a ona przed chwilą podarowała mu obrączkę swojego ojca.

Czuł, że musi działać szybko.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał, by nie przegapić chwili.

– Tak – odparła bez wahania.

– I będziemy żyli razem długo i szczęśliwie?

– Tak.

– I mi ufasz?

– Tak, tak, tak.

Następnego dnia wróciły Sally i Dianne, smutne, blade, pogrążone w żałobie.

Powitał je krzyk małej Alicii Jess niezadowolonej z pierwszej kąpieli. Smutek starszych pań wyparło zaciekawienie. To był początek ich nowej drogi.

Niemowlę w ich domu? I tu zostanie? Fantastycznie!

– To jasne, że musicie tu zostać – oznajmiła Dianne, poznawszy historię Kathy i Mike’a. – My możemy spać w domku.

– I oddamy Alicii pokój Marge – dodała cicho Sally. – Możecie zostać tu tak długo, jak chcecie. Mogę... mogę ją wziąć na ręce?

Z hotelu przysłano podwieczorek. Przy trzecim ciasteczku Sally wyłożyła, co ją trapi.

– Marge mówiła, że wszystkie swoje pieniądze przekaze azyłowi. –

Była bliska łez. – Tak się wszystkie umówiliśmy. Ale nie zdążyła zmienić testamentu, więc mamy za mało, żeby utrzymać azyl... A jej córka nie chce Pokey.

Ben i Jess, trzymając się za ręce, siedzieli na stopniach werandy.

– Ten teren macie na własność? – zapytał nagle Ben.

– Dzierżawimy go na dziewięćdziesiąt lat.

– Zapisany na Marge?

– Nie, w tej kwestii wykazałyśmy większą przezorność. – Zapisano to jako Siedlisko Wyspy Cassowary. Wszystko spłaciłyśmy. Ale teraz nie mamy na pokrycie bieżących kosztów, na weterynarza, na leki...

– Czy gdybyście zechciały, wolno wam rozbudować dom? – zapytał ni z gruszki, ni z pietruszki Ben.

– Chyba tak. Gdybyśmy zechciały i gdybyśmy miały pieniądze. Ale... dlaczego pytasz?

– I wolno wam postawić kilka nowych bungalów?

– Tak, w obrębie działki. Kiedyś o tym marzyliśmy, ale teraz zostało na to już tylko osiemdziesiąt lat.

Ben mocniej uścisnął dłoń Jess.

– Może wy nie macie pieniędzy – zwrócił się do Sally i Dianne – ale ja mam. Jeśli zgodzicie się na moje warunki, postaram się, żebyście mogły opiekować się zwierzakami w nieskończoność. – Zawahał się. — No, nie w nieskończoność. Do wygaśnięcia dzierżawy.

– J... jak to? – wyjąkała Sally.

– Mam spory majątek. Czekałem... czekałem, aż będę miał rodzinę, na którą mógłbym go wydać.

– Ale...

– Jeśli się zgodzicie, chętnie wam pomożemy. Będziemy

zaszczyceń, mogąc uczestniczyć w tym, co robicie.

Wzrok Dianne powędrował do ich złączonych dłoni.

– O matko – wyszeptała – wy...

Ben uniósł lewą dłoń.

– Zaręczynowy pierścionek. Zgodziłem się!

Dusty, który siedział obok niego, odłożył lornetkę.

– Zaręczyli się – orzekł.

– Ben poprosił mnie o rękę – wyjaśniła mu Jess.

– Wydaje mi się, że było odwrotnie. – Ben uśmiechnął się do chłopca. – Masz bardzo apodyktyczną matkę.

– Oj tak. Dlaczego chcesz się z nią ożenić?

– Może po to, żeby być twoim prawdziwym wujkiem?

– I tak jesteś prawdziwym wujkiem.

– Masz rację.

– Gdybyś się z mamą ożenił... – Dusty na moment się zamyślił – to byłbyś prawie jak tata.

– Oczywiście. Co ty na to?

– Super. I będziemy mieszkać tutaj?

– Nie.

– Nie?

– Rozmawialiśmy o tym z twoją mamą. Bardzo byśmy chcieli, ale nasza praca polega na rodzeniu maluszków. I chociaż w ciągu ostatnich dwóch dni urodziliśmy ich mnóstwo...

– Pokey?

– Nie tylko. Ale czy mogę przedstawić wam nasz plan? Parę dni temu rozmawiając ze mną, dyrektor hotelu wyraził pewne obawy co do rentowności schroniska. Mówił, że są z tym problemy. Miałem trochę

czasu do namysłu i doszedłem do wniosku, że dzięki pieniądząom mojej rodziny można by je doprowadzić do wymarzonego stanu, a nawet może się wam uda hodowla kazuarów.

– Mamy ich już szesnaście – zachnęła się Dianne.

– To wspaniały początek, ale mając większe fundusze, będzie można wyhodować ich jeszcze więcej, zatrudnić na stałe weterynarza, kontynuować współpracę z uniwersytetem.

– Na to trzeba fortuny – szepnęła Dianne.

– Na szczęście nią dysponuję.

– Ale wy...

– No właśnie. Jess i ja pracujemy, a Dusty musi chodzić do szkoły. Pomyśleliśmy, że skoro Jess jest gotowa porzucić Londyn, to ja mógłbym się przeprowadzić na północ. Mogę prowadzić badania na tutejszym uniwersytecie, a w każdej wolnej chwili będziemy tu wpadać, żeby wam pomagać.

– Będę mógł tu przyjeżdżać? – ucieszył się Dusty.

– Doszliśmy też z Jess do wniosku, że przyda się wam ktoś do pracy fizycznej. Mike, wiem od Kathy, że nie przepadasz za kopalnią, a ty, Kathy, mówisz, że podoba ci się ta wyspa... Gdyby tu był dom z prawdziwego zdarzenia i uczciwe wynagrodzenie...

– O matko... – wyszeptała Kathy.

– Ej, uważaj! – zawołał Mike. – Upuścisz małą!

– Mogłabym tu pracować?

– Ale nie podchodź do węży – doradził jej Dusty.

– Czy to możliwe? – Sally była równie oszołomiona.

– Wszystko jest możliwe – oznajmił Ben. – Czterdzieścioro pięcioro noworodków w jedną noc. Doktor McPherson i doktor Oaklander

wszystko potrafią. – Objął Jess. – Moja żona i ja. Czy już powiedziałem, że się pobieramy?

– Kiedy? – zainteresował się Dusty.

– A kiedy byś chciał?

– Zaraz. Mamo, każ mu coś podpisać, żeby się nie rozmyślił.

– Może zmienić zdanie – odpowiedziała pogodnie, czując się bezpiecznie w objęciach Bena. – Nikt do niczego go nie zmusza.

– A jakże! To ty wyrwałaś mnie z mojego chłopięcego świata i zorganizowałaś mi rodzinę. Jess, kocham cię całym sercem. Na wieki.

– I będziecie mieli dzieci – sapnął Dusty.

– Tysiące – uściślił Ben. – Bo pomożemy je urodzić wielu mamom.

A my dwoje...?

– Później o tym porozmawiamy – przerwała mu mocno speszona Jess.

– Oczywiście, serce moje. Mamy dużo czasu.